

ANNETTE BROADRICK

**Nigdy nie trać
nadziei**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Mimo wiszącego w barze gęstego dymu tytoniowego Dan Crenshaw dostrzegł ją natychmiast. I nie on jeden. W jaskrawoczerwonej obcisłej sukience na cieniotkich ramiączkach, z falą czarnych włosów opadających aż na ramiona wyglądała jak egzotyczny kwiat wśród zielska.

Choć drobna i szczupła, na pewno nie była dzieckiem. Na widok jej kształtów i krągłości, których sukienka ani trochę nie kryła, każdy prawdziwy mężczyzna gotów był wyć do księżycy.

Pojawienie się jej w tym obskurnym barze musiało oznaczać straszne kłopoty. A tego Dan na pewno nie chciał.

Było to miejsce, którego świetność minęła jakieś czterdzieści lat temu. Znajdowało się w starej kamienicy, tuż nad zatoką. Odrapane i brudne drzwi nie mogły skusić nowego przybysza. A choć nie miał pojęcia, kim mogła być nieznajoma, Dan jednego był pewien: nie mieszkała na wyspie na stałe.

Radio ryczało niemiłosiernie. Lokalna stacja nadawała dawno przebrzmiałe przeboje. Lecz hałas w barze, gdzie kłębił się tłum stałych bywalców, i tak był potężniejszy. Na moment wszyscy popatrzyli na nowo przybyłą, ale już po chwili wrócili do przerwanych rozmów.

Dan siedział przy stoliku w odległym kącie. Można powiedzieć, że odkąd przybył na wyspę South Padre, to miejsce stało się poniekąd jego własnością. Polubił je, bo tam wszyscy zostawiali go w spokoju. A tego pragnął najbardziej.

Pewnego ranka, kilka tygodni wcześniej, niespodziewanie

dla wszystkich opuścił swoje ranczo w Hill Country i swoją firmę komputerową w Austin i ruszył na południe. Wyspa, na którą przybył, była najodleglejszym miejscem, do którego mógł dotrzeć, nie opuszczając stanu Teksas.

Obracając w dłoni szklaneczkę z alkoholem, przyglądał się nieznajomej. Spodziewał się, że spostrzeższy pomyłkę, szybko opuści bar. Lecz tak się nie stało. Rozejrzała się leniwie wokół i ruszyła do upatrzonego stolika.

W barze było dość ciemno. Neonowe reklamy różnych gatunków piwa mrugały niepokojąco i sprawiały, że reszta pomieszczenia zdawała się tonać w jeszcze gęstszym mroku. Tylko świece umieszczone w niewielkich lampionach tworzyły na stolikach małe wysepki blasku.

Kobieta usiadła niedaleko od Dana. Torebkę postawiła na sąsiednim krześle. Miała wspaniałą profil - wysokie czoło, prosty nos, pełne wargi, delikatnie zarysowany podbródek i długą, wiotką szyję.

Laramie, właściciel baru, pofatygował się do niej osobiście. Dan nie mógł usłyszeć jej głosu, widział jednak, co malowało się na twarzy Laramiego, gdy pochylony nisko, przyjmował zamówienie.

Dan jednym haustem dopił swoją szkocką i wysoko uniósł pustą szklaneczkę. W końcu postawił ją na blacie i w zadumie wpatrywał się w kostki lodu na dnie. Zastanawiał się, czy można z nich wróżyć, jak z herbacianych fusów. Chyba byłoby to jednak znacznie trudniejsze. Trzeba by się śpieszyć, nim skryte w nich ezoteryczne przekazy rozpuszczą się ostatecznie.

Gdy podniósł głowę, napotkał wbite w siebie spojrzenie nieznajomej. Wśród kłębow dymu jej oczy lśniły jak diamenty. W ich hebanowej głębi odbijało się migotanie świecy. Uniósł szklaneczkę w geście pozdrowienia.

Przyglądała mu się przez chwilę z nieprzeniknionym wyra-

zem twarzy. Potem odwróciła głowę. Od strony baru spiesznie nadchodził Laramie, w jednej ręce trzymając pełną szklanekę, a w drugiej kieliszek. Dla Dana i dla niej.

Dan powoli wypił duży łyk. Nie był zaskoczony. Nie po raz pierwszy dostał kosza. Nie dziwiło go to ani trochę. Musiał bowiem wyglądać jak jakiś pirat.

W zamyśleniu potarł brodę. Nie umiał sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się golił. Albo cesał. Żaden z jego dawnych pracowników nie rozpoznałby go. Ani nawet rodzona siostra!

Mandy. Psiakrew! Tak usilnie starał się wyrzucić ją z pamięci. Jeszcze dziś rano zbeształa go przez telefon, gdy odmówił powrotu do domu.

Nie umiała zrozumieć, jak cudowne było życie na wyspie. Spał, kiedy chciał, jadł, kiedy chciał, i pił, kiedy chciał. Po raz pierwszy od wielu lat mieszkał w apartamencie, który kupił przed laty, kiedy koniunktura na pograniczu Teksasu i Meksyku sprzyjała takim inwestycjom. Mieścił się w najwyższym budynku na wyspie i z jego okien można było podziwiać widok, zarówno na Zatokę Meksykańską, jak i na cieśninę oddzielającą wyspę od Port Isabel.

Nie. Stanowczo nie miał ochoty opuścić tej wyspy. Tu znalazł nowy dom. Przez chwilę analizował tę myśl. Potem uniół do ust szklaneczkę.

Znalazłam go. I co teraz?

Shannon Doyle pociągnęła łyk wina. Całym wysiłkiem woli pohamowała się przed gwałtowniejszą reakcją. Miała niejasne przeczucie, że popyt na wino w tym barze nie był zbyt wielki.

Właściwie znikomy.

Owszem. Przygotowywała się do tego spotkania przez ostatnie trzy dni. Bardzo dokładnie. Światła! Kamera! Akcja!

Tyle tylko, że nie mogła sobie przypomnieć ani jednej kwestii ze swojej roli.

Poczuła gwałtowną potrzebę obciągnięcia kusej sukienki. Kupiła ją tego ranka w małym sklepiku na wyspie. Liczyła, że dzięki niej zwróci na siebie uwagę Dana. Ale nie miała zamiaru ściągać na siebie uwagi całego świata.

Trudno, pomyślała. Trzeba się z tym pogodzić. Na pewno nie jestem wampem.

Wprost przeciwnie. Większość życia Shannon spędziła zagrzebana w książkach lub ze wzrokiem wbitym w monitor komputera. Nigdy nie zaprzętała sobie głowy strojami, by zwrócić uwagę płci przeciwnej.

I dobrze. Bo i tak żaden nigdy nie zwracał na nią uwagi. Chyba że, jeszcze w szkole, chcieli przepisać od niej pracę domową. Bo później... O tym nawet nie chciała myśleć. Niedawne doświadczenia z Rickiem Taylorem musiała złożyć na karb zupełnego braku wiedzy na temat samców. Wszystkich samców.

Z wyjątkiem dwóch braci, przez całe życie miała wokół siebie same kobiety. Nawet jej domowy pupil był kotką.

Kiedy planowała to wszystko, wyobraziła sobie, że powinna zrobić coś, co wstrząsnęłoby Danem. Stąd ta cholerna sukienka.

Owszem, spojrział na nią. Jego wzrok sprawił, że jej serce zabiło gwałtownie. Ale jej nie rozpoznał.

Prawdę mówiąc, raczej na to nie liczyła. Przeciwnie. Zamierzała, jak motyl wychodzący z kokonu, stać się zupełnie nową kobietą.

Zapewne nie musiała zaczynać od spotykania się z Rickiem. Jednak kiedy w ubiegłym tygodniu porozmawiała z Mandy McClain, uznała, że nie powinna poddawać się rozpacz. Nie mogła pozwolić, by rozczarowanie zaciążyło na całym jej życiu. Postanowiła pójść za głosem serca. I zamiast snuć fantazje, przekuć w rzeczywistość młodzieńcze marzenia.

Odkąd skończyła trzynaście lat, jej wymarzoną kochan-

kiem zawsze był Dan Crenshaw. Chodzili do tej samej szkoły, ale on był od niej starszy. Uważano go za gwiazdę drużyny futbolowej. Był znany, lubiany i przystojny. A ona? Była pyzata i tłuściutka. Jak hipopotam. A grube szkła okularów upodabniały ją trochę do sowy.

Przez ten czas zmieniła się, rzecz jasna. Schudła. Zaczęła używać szkieł kontaktowych. Lecz tamte lata zostawiły trwałe ślad w jej psychice. Zdarzały się takie chwile, kiedy czuła się gruba i paskudna.

Spodziewała się, że sukienka doda jej pewności siebie, tymczasem czuła się jeszcze bardziej skrępowana. Miała wrażenie, że wszyscy gapili się wyłącznie na nią.

Usłyszała skrzyknięcie krzesła i obejrzała się.

Dan wychodził! Och, nie! Nie teraz! Jeszcze nie zrobiła następnego ruchu.

Jednak Dan nie skierował się do wyjścia. Podeszedł do baru i wdał się w pogawędkę z właścicielem. Spoglądali przy tym w jej stronę i śmiali się. Potem Dan zniknął w toalecie.

Shannon wypuściła powietrze z płuc. Jeszcze nie wszystko przepadło - pomyślała.

Nie wiedziała, jak wyglądał przed przyjazdem na wyspę. Lecz pobyt tu na pewno go odmienił. Był pięknie opalony. Nosił wyciągniętą, bawełnianą koszulkę i obcięte, postrzępione dżin-sy. Na bosych stopach miał tylko klapki. Niezwykły strój jak na szefa znaczącej firmy.

Musiała przyznać Mandy rację. Trzeba było coś z tym zrobić.

Shannon była zdecydowana zrobić wszystko, by dobrze wypełnić swoją misję i uratować Dana Crenshawa przed nim samym.

Kiedy Dan wrócił z toalety, w barze czekała już na niego kolejna szklaneczka przygotowana przez Laramiego. Wziął ją ostrożnie w dwa palce i ruszył do stolika.

Nieznajoma nadal wolno sączyła wino.

Usiadł. Odchylił się, zakołysał na krześle tak gwałtownie, że aż oparł je o ścianę. Wciąż był w podłym nastroju. Będzie miał koszmarny wieczór tylko dlatego, że zrobił głupstwo i odebrał ten telefon.

- Czego?! - rzucił. Sięgnął po słuchawkę tylko dlatego, że telefon dzwonił i dzwonił przez cały ranek.

- Zawsze w taki sposób odbierasz telefony? - spytała Mandy.

- Czego chcesz?

- Nie musisz być niegrzeczny.

- A ty nie musisz tutaj wydzwaniać, żeby sprawdzić, czy już rzuciłem się z balkonu.

Mandy odezwała się po długiej chwili.

- To wcale nie jest śmieszne, Dan. A poza tym nie dzwoniłam już od trzech dni.

- Co ty powiesz?! To nowy rekord. Przyznaję ci medal.

Tym razem cisza trwała jeszcze dłużej. Wreszcie Mandy westchnęła ciężko.

- Musimy porozmawiać - powiedziała.

- Przecież właśnie rozmawiamy.

- O firmie.

- Już ci mówiłem. Nie chcę o niej słyszeć.

- Oj, tak, braciszku. Powiedziałeś to bardzo wyraźnie. Ła-two ci to przyszło. Wzruszyłeś tylko ramionami i rzuciłeś: „Odcodzę!” Ale życie toczy dalej, Dan. Wciąż istnieją kontrakty, które podpisałeś. Zamówienia, które trzeba zrealizować. Kto ma się tym zajmować, kiedy nie ma ani ciebie, ani Jamesa? Rafe był szefem ochrony. I nie ma żadnego powodu, żeby kierował tą idiotyczną firmą zamiast ciebie.

- Nikt go o to nie prosił.

- Ale przecież ktoś musi to zrobić! Dzwonili już z Federal-

nego Urzędu Zatrudnienia. Mówili, że kontaktowałeś się z nimi. Zebrali podania o pracę oraz dokumenty kandydatów i chcieliby umówić ich na rozmowy kwalifikacyjne. I co mamy im odpowiedzieć? Rafe nie nadaje się do przepytывania ludzi. Pomijam już fakt, że z powodu twojej nieobecności firma traci potencjalne zyski. Ale ktoś powinien przynajmniej nadzorować realizację wcześniej podpisanych kontraktów. Lada chwila możesz zostać zasypany pozwami sądowymi.

- To tylko czcza gadanina, Mandy.

- Ostatnio wszystko dla ciebie to tylko „gadanina”, Dan. Ale powoli zaczynam mieć dosyć obchodzenia się z tobą jak ze śmierdzącym jajem. Rafe nigdy ci tego nie powie, ale ktoś musi. Powinieneś już przestać rozczulać się na sobą. Zacznij wreszcie myśleć o innych. Czy masz pojęcie, ile czasu Rafe poświęca firmie, żeby ratować twój tyłek? Już prawie wcale go nie widuję. Prawie nigdy nie wraca do domu przed jedenastą, a o siódmej rano już go nie ma. Tak nie można żyć! Wiem, że James cię zranił.

- Zranił mnie?! Cholera, Mandy, to nie ma nic do rzeczy. Stawał na głowie, żeby zwalić na mnie wszystkie swoje sprawy! Gdyby Rafe nie znalazł dowodów jego udziału w tym wszystkim, to ja, a nie James, siedziałbym dziś w pace.

- No właśnie! Owszem, James był twoim przyjacielem. I jest prawdą, że cię zdradził. Zdefraudował twoje pieniądze. Omal nie doprowadził do upadku firmy. Ale przecież nie był twoim jedynym przyjacielem. Rafe zawsze był z tobą. Ale ciebie wcale nie obchodziło to, że wszyscy staraliśmy się pomagać ci ze wszystkich sił. I robimy to nadal. Choć ty wolałeś uciec.

- Czemu Rafe sam nie zadzwonił i nie powiedział mi tego?

- A kiedy miał to zrobić?

Dan nie potrafił odpowiedzieć. Dobrze wiedział, ile czasu zabiera prowadzenie firmy. Zajmował się tym od lat. Razem

z kumplem ze szkoły. Ze współnikiem. Z przyjacielem - Jamesem Williamsem. Drogi James! Nędzny, cuchnący, kłamliwy złodziej.

Nie chciał wracać do przeszłości. Miał już dosyć tej rozmowy.

- Zadzwoń do Rafe'a - mruknął.

- Kiedy?

- Niedługo.

- Kiedy konkretnie?

- Psiakrew, Mandy! Nie naciskaj mnie. Powiedziałem przecież, że zadzwonię. A teraz odczep się.

- Czasem potrafisz być strasznie głupi, Dan.

- I ja ciebie kocham. Uściskaj Angie i ucałuj ją od wujka Dana.

- Sam to zrób! - prychnęła Mandy i rzuciła słuchawkę.

Potrząsnął głową, próbując odegnać wspomnienia. Nigdy wcześniej siostra nie była na niego aż tak wściekła. Nawet kiedy jeszcze byli dziećmi.

Podniósł do ust szklaneczkę.

Problem polegał na tym, że wiedział, iż Mandy miała rację. Był głupi. Rafe znowu przyszedł mu z pomocą. Zastanawiał się, czy przyjacielowi, a od niedawna szwagrowi, na długo jeszcze starczy cierpliwości.

Zgrzyt krzesła po betonowej posadzce wyrwał go z zamyślenia. Nieznajoma w obcisłej sukience stała obok jego stolika i przyglądała mu się. Kiedy skupił wreszcie wzrok na jej twarzy, uśmiechnęła się zalotnie.

- Nie powinieneś siedzieć tak samotnie - powiedziała miękko. Nie czekając na zaproszenie, usiadła naprzeciw niego. Wypiła łyk wina. Ani na chwilę nie spuszczała z niego oczu.

Jego krzesło z głośnym trzaskiem opadło na cztery nogi. Zamrugał gwałtownie powiekami. Poczuł subtelny zapach tropikalnych kwiatów. Zastanawiał się usilnie, czy to mu się przy-

padkiem nie śniło. Spróbował się skupić. Twarz tej dziewczyny przypominała buzię porcelanowej figurki. W porządku, to tylko sen, pomyślał. Przecież jestem pijany.

Położył ręce na stole. Opiekuńczym gestem ujął swoją szklaniczkę i uśmiechnął się do dziewczyny.

W pierwszej chwili wyglądała na wystraszoną. Potem wypła łyk wina i prowokacyjnie oblizała dolną wargę. Dan zeszywniał.

- Nigdy cię tu nie widziałem - powiedział po chwili. Samego siebie zadziwił banalnością tego stwierdzenia.

Pochyliła się ku niemu i pogłaskała go po policzku. Odskończył gwałtownie.

- Skończyły ci się żyletki? - szepnęła.

- Tam, przy barze, znajdziesz tyłu ogolonych, ilu tylko zechcesz.

- Dlaczego miałabym to robić, Danny - szepnęła jeszcze bardziej miękko - skoro znalazłam ciebie?

Tak, na pewno wypił zbyt dużo. Tylko tak mógł wyjaśnić niespodziewane pojawienie się pięknej nieznajomej. To wszystko musiało mu się wydawać. Tylko skąd znała jego imię?

Wbił w nią zmrużone oczy.

- Kim ty, u diabła, jesteś? - spytał.

Cofnęła się. Opadła na oparcie krzesła. Posłała mu uśmiech, który świętego przywiódłby do grzechu.

- Jak to, Danny, nie pamiętasz mnie?! Jestem twoją najgorszą senną zmorą.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Och, nie wydaje mi się - odparł. A potem zadrżał, przestraszony własną reakcją na jej obecność.

Przyglądała mu się z uwagą. Potem, jakby sama do siebie, powiedziała:

- Myślę, że powinniśmy już pójść do domu - wstała i wzięła go za rękę. - Chodźmy - powiedziała z uśmiechem.

Rozmowy w barze ucichły. Dan poczuł na sobie spojrzenia wszystkich zgromadzonych. Cholera, czemu nie? pomyślał. Skoro taka urocza dziewczyna sama się naprasza... Wciąż nie mógł zrozumieć, co się z nim działo. Lecz nie zamierzał spierać się z losem.

Pomału wstał i uśmiechnął się.

- Jak sobie życzysz, złotko - powiedział.

- Mam na imię Shannon. Sądziłam, że mnie pamiętasz. - Objęła go w pasie i poprowadziła do wyjścia. Wybuchnął śmiechem. Przed barem zatrzymali się. Po dusznym i zadymionym wnętrzu chłodny wiatr znad zatoki stanowił cudowną odmianę. Księżyc w pierwszej kwadrze spowijał wszystko delikatną srebrną poświatą.

- O tej porze roku jest tu naprawdę wspaniałe, prawda? - bąknął.

Przyglądała mu się bez słowa. Wziął ją za rękę.

- Nie miałem pojęcia, że trzeba tu przyjeżdżać właśnie w październiku. Mało turystów, świetna pogoda. Czego chcieć więcej?

- Teraz jest listopad - odparła i poprowadziła go w stronę małego, sportowego auta. Otworzyła drzwiczki. - Wsiadaj. Zawiozę cię do domu.

Posłusznie wypełnił jej polecenie.

- Świetny pomysł - powiedział. - To spory kawał drogi. Zwykle robię sobie przyjemny spacer, ale wygląda na to, że strasznie ci się dzisiaj śpieszy.

Usiadł wygodnie i zamknął oczy.

Shannon wsunęła się za kierownicę, popatrzyła na niego i potrząsnęła głową. Och, Dan, co ty robisz najlepszego? pomyślała z rozpaczą. Zrozumiała, dlaczego Mandy tak bardzo się niepokoiła.

Jak dobrze, że mogła pozwolić sobie na krótkie wakacje. Dan miał rację, to była dobra pora roku. Deszcze jeszcze nie zaczęły padać, a na zimowych turystów było za wcześnie.

Mandy dokładnie opisała jej, gdzie znajdowało się mieszkanie Dana, więc bez trudu dotarli na miejsce. Zatrzymała samochód przed bramą.

- Dan? Jaki jest kod? Dan?

- Hmmm?

- Kod.

- Aha. - Wymamrotał cyfry. Shannon modliła się, żeby czegoś nie pomylił. Na szczęście brama rozsunęła się. Jak dotąd, nieźle. Wjechali na parking.

- No, dobrze, mistrzu, teraz musisz mi pomóc.

Dan z trudem uniósł powieki. Wyprostował się i rozejrzał dookoła.

- Cholera, chyba ciągle śpię. - Spojrzał na Shannon i uśmiechnął się radośnie. - Tak, bez wątpienia jesteś częścią mojego snu.

Z trudem zachowała powagę, wysiadając z auta. Dan wygramolił się o własnych siłach. Wzięła go za rękę i prawie zawlokła

do wejścia do budynku. Strażnik rozpoznał go i wpuścił ich do środka.

- Dobry wieczór, panie Crenshaw - powiedział.

- Dobry - mruknął Dan. Podeszli do wind i Dan nacisnął guzik. Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Cofnął się o krok i szarmanckim gestem zaprosił Shannon do środka.

- Które piętro? - spytała.

- Ostatnie.

- Musisz mieć wspaniałą widok z okien.

- Ujdzie.

W końcu Dan wygrzebał z kieszeni klucz, otworzył drzwi do mieszkania i powiedział:

- Witaj w mych skromnych progach.

Była to jawna kokieteria. Apartament był przestronny, pełen luster, szkła i chromu. Podłogę przykrywał olbrzymi kosztowny dywan, sięgający przeszklonych ścian. Wokół całego mieszkania ciągnął się wielki balkon.

- Napijesz się czegoś? - spytał. Stał za barem, w kącie pokoju, z butelką w dłoni.

- Hm! Nie, dziękuję. Może później.

Posłał jej czarujący uśmiech. Ten sam, który zawsze sprawiał, że zaczynały drżeć jej kolana.

- Chcesz obejrzyć resztę mieszkania? - spytał.

- Chętnie.

Pokazał jej cały apartament: jadalnię i doskonale wyposażoną kuchnię (po drodze zajrzała do spiżarni i lodówki - były puste), trzy sypialnie, każda z własną łazienką, i przestronny pokój gospodarza z gigantycznym łóżkiem pośrodku.

- Mówiłaś, że jak ci na imię?

- Shannon.

- Ładnie.

- Dziękuję.

- A skąd znasz moje imię?

- Przecież znam cię prawie od dzieciństwa. - Podeszła do łóżka i wygładziła zmiętą pościel. - Odpocznij teraz. Porozmawiamy rano.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli zamiar zbyt dużo odpoczywać, prawda? - Podeszedł do niej, objął mocno i pocałował.

Nie spodziewała się takiego obrotu wydarzeń. Próbowwała walczyć, opierać się, lecz im dłużej trwał pocałunek, tym słabiej się broniła.

W końcu to był Dan. Przecież właśnie o tym marzyła całymi latami. Ale nie zamierzała mówić mu tego. Niech myśli, że oczarował ją właśnie w tym momencie.

Wyrwała się wreszcie. Stała, dysząc ciężko. Nie musiała przecież zdradzać mu, jak znikome miała doświadczenie w takich sprawach.

A on stracił równowagę. Szczęśliwie upadł do przodu, na łóżko.

Nie ruszał się.

Shannon zbliżyła się ostrożnie. Dan leżał w poprzek łóżka, z szeroko rozrzuconymi rękami. Bose stopy wystawały poza pościel. Klapki spadły na podłogę. Zastanawiała się przez chwilę, ale w końcu postanowiła zostawić go w takim stanie. Nakryła go kocem i wyszła, cicho zamykając drzwi.

W salonie zauważyła telefon. To była dobra pora, by skontaktować się z Mandy. Zabrała bezprzewodową słuchawkę na balkon i usiadła w wygodnym fotelu. Wystukała numer na klawiaturze i czekała.

- Cześć! Mówi Shannon - powiedziała, gdy tylko Mandy odebrała telefon. - Misja zakończona. Odnalazłam go.

Mimo wielkiej odległości wyraźnie usłyszała westchnienie ulgi.

- Dzięki Bogu. Jak on się ma? - spytała Mandy.

Shannon uśmiechnęła się do siebie.

- Można by powiedzieć, że wrócił na łono natury. Może nie błąkał się po plażach mórz południowych, ale wygląda jak typowy włóczęga.

- Schudł?

- Tego nie wiem. Przecież nie widziałam go od wielu lat. Ale nie wygląda na chorego.

- Tak się martwię o niego! Rozmawiałam z nim dziś rano. Pokłóciliśmy się strasznie.

- Ja nie miałam z nim żadnych kłopotów. Znalazłam go w pewnej speluncie i przywiozłam do domu.

- Wspaniale! Rozpoznał cię?

- Żartujesz?! Nie ma najmniejszego pojęcia, kim jestem. Ani po co tu przyjechałam. Ale coś mi się zdaje, że jutro rano nie ucieszy się na mój widok.

Mandy westchnęła ciężko.

- Naprawdę nie wiem, co jeszcze można zrobić, Shannon. Rafe też. Mówi, że wszyscy w firmie doskonale rozumieją sytuację. Co za szczęście, że pracują tam ludzie, którzy wiedzą, na czym polegają ich obowiązki.

- Rozumiem twoje obawy. W końcu ja też mam braci. Gdyby którykolwiek z nich znalazł się w podobnych tarapatach, chyba umierałabym z niepokoju.

- Nie wiem nawet, jak mam ci dziękować, że zgodziłaś się odszukać Dana.

Shannon roześmiała się.

- Obawiam się, że dopiero jutro rano czeka mnie naprawdę trudne zadanie. Ale dam sobie radę. Jak już powiedziałam, nauczyłam się dawać sobie radę z braćmi.

- Mam nadzieję, że mimo wszystko miło spędzasz czas na wyspie.

- O, tak! Nie byłam tu już od ponad pięciu lat. Mam zamiar pięknie się opalić.

- Jestem pewna, że kiedy będzie już po wszystkim, Dan podziękuje ci.

- Nie liczyłam na to. Ale nadal mam ochotę na tę posadę w jego firmie. Jeśli rzeczywiście będzie chciał mi podziękować, to może mi ją da.

- Ach! - Mandy parsknęła śmiechem. - Wyszło szydło z worka!

- Otóż to! Oczywiście, po tym wszystkim on może nie chce nawet patrzeć na mnie. Ale trudno. Kiedy zgodziłam się na to, nie pracowałam u niego. Nie będzie więc mógł mnie wyrzucić.

- Kiedy dowie się, że to ja cię tam wysłałam, będzie wściekły.

- Ode mnie nie dowie się tego. Będziemy w kontakcie. Trzymaj się! Odezwę się niedługo.

Shannon odłożyła słuchawkę i odszukała klucz do mieszkania. Zjechała na dół, do samochodu, po swój bagaż. Strażnik pomógł jej wnieść walizki do windy i skinął na pożegnanie.

A ona zastanawiała się, co też musiał sobie pomyśleć, gdy Dan nie zjechał na dół, by jej pomóc. Może powinna była przedstawić się jako jego siostra?

Rozpakowała się w jednej z sypialni. Pomyślała, że następnego ranka będzie musiała kupić coś do jedzenia. Ale wcześniej zrobi to, co lubi najbardziej - o wschodzie słońca pójdzie na spacer po plaży.

Była przekonana, że Dan nie wstanie zbyt wcześnie. Za to potem będzie mogła dołożyć wszelkich starań, by jego życie na wyspie uczynić piekłem na ziemi.

W końcu od czego ma się prawdziwych przyjaciół?

ROZDZIAŁ TRZECI

Za tym właśnie Shannon tęskniła najbardziej. Za leniwą przechadzką po prawie pustej plaży. Tylko od czasu do czasu mijali ją nieliczni biegacze czy zbieracze muszelek. Głęboko wciągnęła powietrze, rozkoszując się świeżym zapachem oceanu. Ostatnie trzy lata żyła i pracowała w St. Louis. Na urlop jeździła zimą na narty do Kolorado i już stęskniła się za spacerowaniem boso po nadmorskim piasku.

Poprzedniego dnia kupiła dwuczęściowy kostium kąpielowy i pasujące do niego plażowe wdzianko. Przed wyjściem z domu splotła włosy w warkocz. Stojąc przed lustrem, zauważyła, jak bardzo była blada. Postanowiła, że wszystkie wolne chwile spędzi na słońcu.

Szła powoli, zbierając muszelki. Potem wspięła się na granitowe głązy, skąd roztaczał się widok na wejście do portu. Niedaleko brzegu pelikany i czaple polowały na ryby.

Słońce było już wysoko, gdy wróciła do domu. Nasłuchiwała przez chwilę, ale Dan nie dawał oznak życia. Po cichu zajrzała do mrocznej sypialni i stwierdziła, że nadal śpi. Poszła więc do sklepu i zrobiła spore zakupy.

Wróciła do mieszkania. Zaparzyła kawę, wrzuciła na patelnię kilka plastrów bekonu i przyrządziła napar z ziół. Spodziewała się, że Dan może wstać z bólem głowy.

Gdy promienie słońca załały olbrzymi salon, cicho zastukała do drzwi sypialni Dana. Nie usłyszawszy odpowiedzi, weszła do środka.

Dan leżał na plecach, z szeroko rozrzuconymi ramionami. W półmroku panującym w pokoju wyglądał całkiem nieźle.

Postawiła parującą filiżankę na nocnej szafce i rozsunęła zasłony. Skutek był natychmiastowy.

- Co? Zasłoń te cholerne kotary! Co ty robisz?

Odwróciła się. Dan siedział na łóżku. Oparł łokcie na kolanach, twarz ukrył w dłoniach.

- Dzień dobry! - powiedziała pogodnie. - Przyniosłam ci coś do picia.

- Kim ty jesteś? Co tu robisz? - rzucił.

Shannon uśmiechnęła się.

- Przecież sam mnie tu wczoraj zaprosiłeś! Nie pamiętasz? Jęknął głucho.

- Proszę. - Podała mu filiżankę. - To ci dobrze zrobi.

Wyciągnął rozdygotaną dłoń. Siorbnał głośno i skrzywił się.

- Co to jest? - Zamrugał nerwowo powiekami.

- Moje specjalne lekarstwo na niewyspanie i przepicie.

- Ja się nigdy nie upijam - powiedział z godnością.

- Miło to słyszeć. - Odwróciła się. - Śniadanie już prawie gotowe.

- Chryste, cóż to za paskudztwo?! Chcesz mnie otruć, czy co? Wychodząc z sypialni, mruknęła:

- Może to nie jest zły pomysł? Nie chcesz, nie pij. Jesteś już dorosły. - Cicho zamknęła drzwi.

Dan miał wrażenie, jakby znalazł się w środku sennego koszmaru. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy wyszedł z baru, nie pamiętał, jak znalazł się w domu, a już zupełnie nie mógł przypomnieć sobie dziewczyny, która właśnie wyszła z jego sypialni.

Miała na sobie żółte szorty i żółtą bluzeczkę, w uszach kolorowe klipsy. Długie czarne włosy falami spływały jej na ramiona. A w jej oczach lśnił uśmiech.

Co tu się, u diabła, dzieje?! pomyślał.

Zmusił się do wypicia gorącego gorzkiego naparu. Nie dlatego, by tego potrzebował. Po prostu zbudził się ze strasznym bólem głowy. Od upału panującego poprzedniego dnia.

Poszedł do łazienki i stanął przed lustrem. Dlaczego spałem w ubraniu? nie mógł zrozumieć. Przynajmniej na pewno nie przespałem się z nią. Ale dlaczego w ogóle jej nie pamiętam?

W tym momencie, jak w świetle błyskawicy, stanął mu przed oczami tamten obraz: siedział w barze i przyglądał się niezwyklej dziewczynie w czerwonej sukience.

Chyba jednak poprzedniego wieczora wypił trochę więcej, niż mu się wydawało. Nie przypominał sobie nawet, by regulował rachunek. Ale to nie problem. Jeszcze tego samego dnia mógł zapłacić; bywał w barze tak często, że Laramie nie będzie robił korowodów.

Rozebrał się i wszedł pod prysznic, żeby wrócić do życia. Musiał jakoś wytłumaczyć nieznajomej, że bez względu na to, co powiedziała jej poprzedniego wieczora, nie mogła u niego zostać.

Nigdy nie miał wiele czasu na życie osobiste. Zwłaszcza w ostatnich kilku latach. A już zerwane zaręczyny dały mu wyjątkowo dotkliwą lekcję. Wiedział już, że kobiety potrzebują więcej czasu i uwagi, niż on mógł im zaoferować. Zacisnął powieki i wystawił twarz pod strumień wody.

Już dawno nie myślał o Sharon. Był wstrząśnięty, gdy odwołała ślub na kilka tygodni przed ustalonym terminem. Dużo później uświadomił sobie, że w ogóle nie był przygotowany na taki obrót spraw. Nigdy nawet słowem nie wspomniała, że coś było między nimi nie tak. Wtedy pojął, jak mało rozumiał kobiety.

Dlatego nie mógł uwierzyć, że poprzedniego wieczora zaprosił tę nieznajomą do siebie. A tym bardziej że ona przyjęła zaproszenie.

Postanowił się ogolić. Wyglądał już prawie jak małpolud. Nawet nie mógł sobie przypomnieć, kiedy golił się ostatni raz.

Ze zdumieniem stwierdził, że był głodny. Od dawna już mu się to nie zdarzyło. Czyżby to skutek działania tego wstrętnego napoju?

Wrócił do sypialni i ubrał się. Przy okazji stwierdził, że zapas czystych ubrań skurczył się niepokojąco. Trzeba zrobić dzisiaj pranie, pomyślał.

Poczuł cudowny aromat smażonego bekonu i kawy. W kuchni mały stolik był nakryty dla dwojga.

- No, proszę. Świetnie wyglądasz - usłyszał, gdy wszedł.

- Dzięki. - Podrapał się po brodzie. Spojrzał na stół. - To... bardzo ładnie z twojej strony, ale nie musiałaś zadawać sobie tyle trudu.

- To żaden problem. - Dziewczyna podała mu szklanę soku pomarańczowego. - Jaką kawę wypijesz?

- Mmm... Czarną. - Dan wciąż nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. Nie znał tej dziewczyny, a ona zachowywała się, jakby od lat mieszkali razem.

Usiadł. Kiedy postawiła przed nim talerz, poczuł skurcz żołądka.

- Nie jestem pewien... - zaczął, lecz ona mu przerwała.

- Jedz. To najlepsze lekarstwo. Będziesz zdumiony, jak świetnie poczujesz się, gdy będziesz miał w żołądku porządny posiłek.

Przytknął dłoń do czoła. Małe młoteczki wciąż waliły rytmicznie. Nie miał siły na sprzeczki. Sięgnął po kawę.

Cóż za ulga!

Kiedy dziewczyna usiadła naprzeciw niego, zmusił się, by spojrzeć jej w oczy. Ich wielkość, kształt i kolor urzekły go. Olbrzymie, czarne, leciutko skośne, miały niezwykle egzotyczny wygląd. Potrząsnął głową. W końcu czy to ma znaczenie, jakie ta dziewczyna ma oczy? pomyślał.

- Trochę słabo pamiętam wczorajszy wieczór - mruknął po chwili.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

- Och, Dan! Absolutnie nie masz się czego wstydzić. Byłeś wspaniały! Nigdy tego nie zapomnę.

Wyprostował się i popatrzył na nią z irytacją.

- Wspaniały, tak? - bąknął.

Energicznie kiwnęła głową i zabrała się do jedzenia.

- A co takiego wspaniałego zrobiłem?

Zapadła cisza. Dziewczyna wypła łyk soku i wtedy wróciło do niego kolejne wspomnienie. Piła wino!

- No, cóż - powiedziała w końcu - nie bardzo wiem, czy potrafię wymienić coś szczególnego. - Wykonała nieokreślony ruch dłonią.

- Spróbuj. - Ostrożnie wziął do ust kawałek bekonu. Udało się.

- Byłeś taki... Ściąłeś mnie z nóg. Nie mogłam ci się oprzeć. Ja... - Umilkła i wbiła weń baczone spojrzenie. - Nie wierzysz mi, prawda?

- Ani trochę. - Odgryzł kawałek grzanki.

- Och!

- O co ci chodzi? Kim jesteś i po co tu przyjechałaś?

Przyglądała się mu długo. Westchnęła ciężko.

- Ty naprawdę niczego nie pamiętasz? - spytała.

Dan skończył jeść jajka i odgryzł kolejny kęs grzanki.

- Pamiętam wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że nie mogłem zwalić cię z nóg. Sam z trudem się na nogach trzymałem.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem. Zrobiła to w sposób niezwykle uroczy. Dan wyprostował się i sięgnął po następną grzankę.

Dziewczyna ponownie napełniła filiżanki kawą i wsparła brodę na rękach.

- Czy przypominasz sobie Buddy'ego Doyle'a? - spytała.

Obserwował ją uważnie. Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest trochę szalona. Na wszelki wypadek postanowił być bardzo ostrożny.

- Buddy'ego Doyle'a? - powtórzył.

- Aha.

- Znałem tylko jednego Buddy'ego Doyle'a. Jeszcze w liceum. Był jednym z najlepszych... i największych piłkarzy w naszej drużynie. Grał w obronie.

Nieznajoma uśmiechnęła się łagodnie.

- To właśnie ten Buddy. A ja jestem Shannon, jego młodsza siostra.

- Buddy Doyle jest twoim bratem?

- Tak.

- A jaki związek ma Buddy z twoją obecnością tutaj?

- Absolutnie żadnego!

- Rozumiem - skłamał. Wszystko komplikowało się coraz bardziej.

- Przez kilka lat chodziliśmy do tej samej szkoły - dodała z nadzieją w głosie.

- Pochodzisz z Wimberley?

- Tam chodziłam do szkoły. Mieliśmy ranczo leżące na południe od miasta.

Dan mieszkał na ranczu na północ od Wimberley. Nie przypominał sobie Shannon. Gdyby razem chodzili do szkoły, na pewno by ją zapamiętał. Nie była dziewczyną, o której można łatwo zapomnieć.

- To co ty właściwie robisz?

- Niedawno wróciłam do Teksasu i szukam pracy. Odpowiedziałam na ogłoszenie zamieszczone w gazecie ukazującej się w Austin i poinformowano mnie, że to ty jesteś właścicielem firmy, ale wyjechałeś na wakacje. Wtedy pomyślałam, że ja też

już od dawna nie brałam urlopu i że mogłabym pojechać na kilka dni na wyspę. Możesz sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy zobaczyłam cię w tamtym barze? Widać los chciał, byśmy się spotkali.

Dan ostrożnie złożył sztucce na pustym talerzu i skrzyżował ramiona.

- Chcesz powiedzieć, że przyjechałaś tutaj, żeby porozmawiać ze mną o pracy?

Zaśmiała się radośnie.

- Ależ skąd! Przyjechałam tutaj, żeby odpocząć. Z rozmową o pracy zaczekam, aż wrócisz do Austin.

- Sam nie wiem, kiedy to nastąpi.

- Zaczekam.

Przyglądał się jej, pełen najgorszych przeczuc.

- Nie chciałybym być niegrzeczny, panno Doyle, ale nie może pani tu zostać.

Uśmiechnęła się jeszcze promienniej.

- Mam na imię Shannon i obiecuję nie wchodzić ci w drogę. Z chęcią będę przygotowywać ci posiłki i sprzątać. Masz tu bardzo ładne mieszkanie. To będzie dla mnie sama przyjemność.

- Posłuchaj! Jeżeli potrzebujesz pieniędzy na hotel, mogę ci pomóc.

- To bardzo miło z twojej strony, ale to niepotrzebne. Rób to, co zawsze. Jakby mnie tu nie było, zgoda?

Zerwała się z krzesła i szybko sprzątnęła ze stołu. Ze zdumienia Dan zastygł bez ruchu.

Nie miał zbyt wielkiego doświadczenia z kobietami, ale ta osobka była wyjątkowo bezczelna.

- Spodziewasz się, że będę z tobą sypiać? - spytał lodowatym tonem.

Odwróciła się na pięcie i wbiła weń spojrzenie. Po chwili uśmiechnęła się beztrąsko.

- Och, nie! Tego nie było w umowie.
- Czy mogłabyś mi nieco przybliżyć warunki tej umowy?
- Będę twoją gospodynią, dopóki nie będziesz gotowy do powrotu do Austin.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Kompletnie postradałaś zmysły - mruknął. - Ja nie potrzebuję gospodyni.

Shannon poklepała go po dłoni.

- Poczekajmy kilka dni. Przekonamy się, jak to będzie - powiedziała.

- Nic z tego! Przyjechałem tutaj, bo chciałem być sam.

- Nic się nie martw. Nawet nie zauważysz mojej obecności.

- O, tak. Na pewno! - mruknął sarkastycznie.

- Co zwykle robiłeś o tej porze, Dan?

Czy musiała powiedzieć to tak chłodno i rzeczowo? Dan czuł, że wszystko w nim zaczynało wrzeć. Z trudem się pohamował.

- Zwykle o tej porze spałem - powiedział przez zaciśnięte zęby.

Uśmiechnęła się.

- W takim razie wiesz teraz, co traciłeś. Powinieneś być mi wdzięczny, że cię zbudziłam. Może wybrałbyś się jutro o wschodzie słońca na spacer po plaży? Uwielbiam tę porę dnia tu, na wyspie.

- Mój Boże! Nie słyszałaś, co powiedziałem? Nie chcę cię tutaj!

Włożyła naczynia do zmywarki i odwróciła się.

- Nie martw się - powiedziała. - Polubisz mnie.

I nucąc pod nosem, wyszła.

A Dan siedział przy stole, kipiąc z wściekłości.

Dobrze, wystarczy! pomyślał. Wezwę ochronę i każę ją wyrzucić. Będzie ładny widok. Kazać strażnikowi wyrzucić dziewczynę, która chciała mu pomóc w prowadzeniu domu? Jakby stanowiła dla niego jakiegokolwiek zagrożenie!

Ale przecież stanowiła zagrożenie. Dla spokoju jego duszy. Tego było już za wiele. Dan wyszedł na balkon. Dzień rzeczywiście wstawał bardzo miły. I plaża była jeszcze zupełnie pusta.

Może by tak pójść popływać? Nie robił tego ani razu, odkąd przyjechał na wyspę. Prawdę mówiąc, większość czasu przysypiał.

Nieszczęście, które go dotknęło, odcisnęło na nim trwałe piętno. Udział w śledztwie przeciwko przyjacielowi i wieloletniemu wspólnikowi, który okradł ich firmę, wciąż dręczył go w koszmarnych snach. Na szczęście było już po wszystkim. Teraz mógł żyć spokojnie, zajmując się tym, co robił dotychczas. I nikt nie był temu winien, że nie było to już możliwe.

I że wcale go to nie obchodziło.

Wrócił do sypialni; po drodze minął Shannon, obładowaną naręczem pościeli i ręczników. Uśmiechnęła się i skinęła mu głową.

No, dobrze! W końcu i tak trzeba było zrobić to pranie.

Włożył kąpielówki. Odszukał czysty ręcznik i wyszedł z mieszkania.

Na plaży stały leżaki osłonięte wielkimi parasolami. Rzucił ręcznik na jeden z nich i wszedł do wody. Choć zimno wstrząsnęło nim, zmusił się, by iść dalej. Żeby ostudzić myśli. I stłumić wściekłość na nieproszonego gościa.

W tym czasie Shannon telefonowała do Mandy.

- Wściekł się? - spytała siostra Dana z obawą.
- Staralam się, ile sił. I chyba coś z tego będzie.
- Myślę, że lepsze już to niż apatia, w której mój brat pograża się coraz bardziej.

- Sądzę, że mogłabym mu pomóc, ale musiałabym wiedzieć, co się z nim dzieje - powiedziała Shannon. - Mówiłaś, że jego firma miała poważne kłopoty, ale że teraz jest już lepiej.

- Och, zapomniałam, że nie było cię tutaj kilka lat. Przeprowadzono wielkie śledztwo dotyczące przedsiębiorstwa. Wszystko zaczęło się parę lat temu. Okazało się, że wspólnik Dana, James Williams, potajemnie wynosił z fabryki mikroprocesory. W dokumentach pisał, że zostały skradzione, a potem pomagał przemycać je za granicę. Sprzedawali je do krajów obłożonych embargiem przez USA.

- O kurczę!

- Właśnie. A kiedy wpadł, nawiasem mówiąc, dzięki dochodzeniu Rafe'a, wszystko zwałił na Dana. Część skradzionych elementów podrzucił nawet na nasze ranczo. Przez pewien czas wszystko wyglądało bardzo źle. I tylko Rafe nie wierzył w winę Dana. I tak długo szperał, aż znalazł dowody jego niewinności. Ale Dan zniósł to wszystko bardzo źle. Przyjaźnił się z Jamesem od wielu lat i, rzecz jasna, ufał mu bezgranicznie. To był dla niego poważny cios.

- To mi sporo wyjaśnia. Wygląda na to, że coś się w nim wypaliło.

- Rafe mówi to samo. Proponuje, żeby zostawić go w spokoju, aż znów będzie gotów zmierzyć się z codziennością.

- Czy Rafe wie, że tu jestem?

- Och, nie! To znaczy wie, że złożyłaś podanie o pracę i czekasz na rozmowę kwalifikacyjną. Musiałaś chyba spotkać go w biurze, prawda?

- Tak. Pamiętam go ze szkoły. Nie miałam pojęcia, że się pobraliście, dopóki przypadkiem nie wspomniał, że jest spowinowacony z Danem przez małżeństwo.

Mandy roześmiała się.

- Myślę, że wciąż trudno mu się do tego przyzwyczaić.

Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że zadzwoniłaś wtedy do mnie. Miło było cię usłyszeć po tylu latach.

- Mnie też. Dużo jeszcze zostało do opowiedzenia.

- Gdyby Rafe dowiedział się, do czego cię namówiłam, zabiłby mnie. Ale nie dbam o to. Czuję się znacznie lepiej, wiedząc, że ktoś jest z Danem. Poza tym to chyba dobrze, że można go jeszcze rozzłościć. Wczoraj ja, teraz ty.

Shannon zachichotała.

- No, cóż. Wydaje mi się, że zdołam utrzymać go w takim stanie dość długo. Przynajmniej do chwili, kiedy wywali mnie z domu bez pardonu.

- Trzymaj się, Shannon. I jeszcze raz dziękuję, że zgodziłaś się nim zająć.

- Mnie to też dobrze robi. Przez te wszystkie lata stawiałam go na piedestale. Teraz widzę w nim zwykłego człowieka ze wszystkimi ułomnościami i słabostkami.

- Taaak. - Mandy zaśmiała się cicho. - Problem polega na tym, że gdy stawia się kogoś na piedestale, wtedy ma się najlepszy widok na jego tyłek.

- No, dobrze. Już prawie skończyłam sprzątanie. Dan wcale nie jest bałaganiarzem. Zaraz włączę pralkę i idę na plażę. Muszę skorzystać z okazji i trochę się opalić. A także podrażnić trochę twojego braciszka.

- Dziękuję, że wczoraj zadzwoniłaś. Po raz pierwszy od dnia wyjazdu Dana spałam spokojnie. Jesteś prawdziwym darem losu.

- Dan nie widzi tego w ten sposób. Ale tym będziemy martwić się później. Do usłyszenia.

Shannon włączyła pralkę i przebrała się w kostium kąpielowy. Sumiennie nasmarowała się kremem do opalania, chwyciła ręcznik, książkę oraz okulary przeciwsłoneczne i zeszła na dół.

Ludzi na plaży przybyło. Ale znalazła jeszcze wolny leżak. Rozłożyła parasol, żeby słońce jej nie poparzyło, i usiadła.

Trochę czytała, a potem zamknęła książkę i postanowiła zdrzemnąć się do lunchu. Przepadała za gotowaniem. Ale, na swoje nieszczęście, przepadała też za jedzeniem. Nigdy więc nie opuszczała jej troska o tuszę. Przy jej niewielkim wzroście każdy dodatkowy kilogram było wyraźnie widać.

Delikatny szmer fal ukołysał ją do snu.

Dan zdążył już zapomnieć, ile radości może dać pływanie w zatoce. Uważając na prąd powrotny, wypłynął na głęboką wodę. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo się zaniedbał.

Potem spacerował, brodząc w wodzie. Przyglądał się wędkarzom polującym na małe rekinki. Stracił poczucie czasu. Aż nagle poczuł głód.

Co prawda nie miał nadziei, że jego niezatrudniona, nieproszona i niechciana gospodyni poszła sobie, ale trudno.

Czuł przyjemne zmęczenie. Solidny posiłek i drzemka świetnie mi zrobią, pomyślał. Wiedział, że Shannon była w sklepie. Nawet gdyby nie przygotowała nic do jedzenia, w lodówce było dość produktów na niezłe kanapki.

Zbliżał się właśnie do leżaka, na którym zostawił ręcznik, gdy spostrzegł trzech osiłków rozmawiających z jakąś kobietą. To była Shannon. I wcale nie była zadowolona z tej rozmowy. Choć nie słyszał słów, wyraźnie widział, jak gwałtownie protestowała i sprzeciwiała się czemuś, energicznie kręcąc głową.

Dobrze ci tak, pomyślał. Teraz zobaczysz, jak to jest, gdy trafisz na kogoś, kto nie toleruje odmowy.

Uważnie przyjrzał się mężczyznom. Nie wyglądali na plażowiczów. Byli, co prawda, w koszulkach z krótkimi rękawami i szortach, ale na nogach mieli czarne skarpetki i sznurowane półbuty.

Dan zastanawiał się, czy powinien się wtrącić. Może jednym z tych facetów był jej dawny chłopak, który nie chciał się z nią rozstać? To nawet prawdopodobne. Gdyby nie to, że przeżywał

coś w rodzaju załamania nerwowego, pewnie sam by z nią po-swawolił.

A przecież poczuł niezadowolenie. Jakby zaczepiając tę dziewczynę, nieznamomi naruszali jego własność.

Nagle jeden z mężczyzn chwycił Shannon za ramię i szarpnął gwałtownie. Tego było już za wiele.

- Zostaw ją! - krzyknął Dan i podszedł bliżej. - Nie wolno w ten sposób traktować kobiety!

Dwaj pozostali odwrócili się jak na komendę i zagrodzili mu drogę.

- Nie wtrącaj się - warknął jeden gardłowym głosem. - To nie twój interes.

- Shannon? Wszystko w porządku? - rzucił Dan, nie zważając na osiłków.

- Nie bardzo - odparła drżącym głosem. - Nie mam pojęcia, kim są ci ludzie ani czego chcą. Ja...

- Nie gadaj głupstw - przerwał ten, który ścisnął jej rękę. - Powiedziałem ci, że szukamy Ricka Taylora. Tak się składa, że doskonale wiemy, co was łączy. Nie próbuj zaprzeczać. Długo cię szukaliśmy, paniusiu, więc nie próbuj teraz żadnych sztuczek, bo nie jestem w nastroju.

Dan zrobił krok do przodu, lecz jeden z mężczyzn zastąpił mu drogę. Dan odepchnął go i chwycił tego, który trzymał Shannon.

- Puść ją! - krzyknął i zacisnął pięści. Miał wielką ochotę spuścić mu lanie.

Shannon krzyknęła przeraźliwie. Próbowwała go ostrzec. Za późno. Dan nagle poczuł osłepiający ból w potylicy i osunął się na kolana. To jeszcze wzmogło jego wściekłość. Co tu się dzieje, u diabła?! pomyślał. Kim są ci dranie?

Spróbował wstać, lecz ponownie poczuł uderzenie w głowę. Tym razem bez przytomności padł na piasek.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy Dan odzyskał świadomość, najpierw poczuł przyprawiające o mdłości kołysanie, a potem ból rozsadzający czaszkę. Później dotarł do niego odgłos silnika pracującego gdzieś w pobliżu. I dziwny zapach poduszki, którą miał pod głową. Nagle pojął, że znajdował się na płynącym nie wiadomo dokąd statku lub dużej łodzi motorowej.

Spróbował poruszyć głową. Przeszywający ból przykuł go do miejsca.

Jęknął głośno.

- Och, Dan! Tak mi przykro, że cię w to wszystko wplątałam. Dobrze się czujesz?

Shannon?! Rozpoznałby ten głos zawsze i wszędzie. Otworzył jedno oko i tuż nad sobą ujrzał jej twarz. Wpatrywała się z przerażeniem w coś znajdującego się za jego plecami.

Siedziała na podłodze i przyciskała do piersi jego głowę.

Co się stało, do cholery?! pomyślał. Shannon milczała. Wtedy doszedł do wniosku, że może powinien wypowiedzieć to pytanie na głos. Oblizał spieczone wargi i zmusił się do otwarcia drugiego oka.

- Co... - To miał być jego głos?! Przecież na pewno nie jest pijany. Spróbował jeszcze raz. - Co... się... stało?

- Jeden z tych typów uderzył cię w głowę. Dwa razy! Potem zaciągnęli cię do samochodu, gdzie czekał jeszcze jeden. Strasznie się zdziwił, kiedy nas zobaczył. Mówił tylko, że nie ma zamiaru brać udziału w morderstwie i porwaniu. Ten, który dy-

rygował pozostałymi, powiedział mu coś szeptem, a tamci dwaj wciągnęli cię do auta. Wtedy postanowiłam być przy tobie. Przecież nie mieli żadnego powodu, żeby cię uderzyć! Mówili, że mnie szukali. Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi.

- Jak długo byłem nieprzytomny?

Shannon zastanawiała się przez chwilę.

- Wydaje mi się, że całą wieczność. Ale przypuszczam, że musiało to trwać około pół godziny. Zdażyli w tym czasie przywieźć nas tutaj i wypłynąć z portu. Sądząc po odgłosach, jesteście teraz gdzieś na wodach zatoki.

- Żarty się ciebie trzymają - wymamrotał. - Zostaliśmy porwani?

- Obawiam się, że tak - odparła z westchnieniem. Odgarnęła mu włosy z czoła.

Zacisnął powieki. Ironia sytuacji przerastała jego siły. Ile razy w życiu można być porwanym i wyjść z tego żywym? Już raz to mu się przytrafiło. Kiedy odkrył, że jego ranczo było wykorzystywane do szmuglowania mikroprocesorów. Zastanawiał się, czy miał może na czole wypisane: „Porwicie mnie!”.

- Kim oni są? - spytał po długiej chwili.

- Nie mam pojęcia. Nigdy przedtem ich nie widziałam. Ale mogą być z St. Louis, bo wypytywali mnie o Ricka.

- O jakiego Ricka?

Westchnęła.

- O Ricka Taylora. Spotkałam się z nim kilka razy; potem dałam sobie spokój, ale on wciąż mi się naprzykrzał. W końcu uznałam, że nie ma sensu dłużej z nim walczyć. A że i w pracy zaczęłam mieć kłopoty, postanowiłam wrócić do Teksasu i rozejrzeć się za jakąś pracą w okolicach Austin. Wprost nie mogę uwierzyć, że wciąż mam przykrości z powodu Ricka Taylora!

Dan ostrożnie dotknął głowy. Na palcach poczuł wilgoć.

- Ty masz przykrości? - mruknął.

Musiał jednak przyznać, że złożenie głowy na jej kolanach doskonale kołło ból. Uświadomił też sobie, że ten delikatny zapach perfum już zawsze będzie mu ją przypominał.

- Opowiedz mi o tym Ricku - poprosił. Próbował przestać myśleć o dokuczliwym bólu.

- Był przystojny, czarujący. Zdawał się mieć mnóstwo pieniędzy. Twierdził, że zajmował się inwestycjami, ale nie przekonał mnie o tym do końca. Po kilku spotkaniach czułam się w jego towarzystwie coraz gorzej. Robiłam się nerwowa. Nie znosiłam ludzi, którymi się otaczał.

- Jeśli ci tutaj to jego kumple, to rozumiem cię doskonale.

- Nigdy przedtem ich nie widziałam.

- Widać są przekonani, że wiesz, gdzie ten Rick może być. Zupełnie jakby go szukali.

- Nie rozmawiałam z Rickiem już ponad trzy miesiące. Nie mam pojęcia, gdzie może być teraz. Byłam pewna, że nadal jest w St. Louis.

- Coś mi mówi, że już go tam nie ma. Inaczej nie szukaliby ciebie. - Dan spróbował usiąść. Ostry ból przeszył mu czaszkę niczym pocisk. I pomyśleć, że kiedy zbudził się tego ranka, narzekał na ból głowy. Kompletnie nie zdawał sobie sprawy, jak naprawdę może boleć głowa.

Wspaniała sprawa! Znajdowali się na łodzi płynącej nie wiadomo dokąd i nie wiadomo po co. W dodatku byli tylko w strojach kąpielowych. Zadrzał. Pocieszał się, że może nie był to skutek wstrząsu po uderzeniu.

- Znalazłam ten ręcznik i przewiązałam ci nim głowę. Przeraziłam się, bo strasznie krwawiłeś. Ale chyba już jest lepiej?

- Pewnie powinienem podziękować ci za opiekę. - Zdawał sobie sprawę, jak paskudnie to zabrzmiało, lecz nie umiał zaplanować nad bólem i irytacją.

- Chyba raczej powinieneś mieć mi za złe, że znaleźliśmy się w takiej sytuacji. Ale wierzę, że damy sobie radę.

Dan usiadł z wysiłkiem. Ból nasilił się, a żołądek nerwowo zareagował na kołysanie. Miał nadzieję, że nie zwymiotuje i nie skompromituje się do reszty.

- Leż spokojnie. Nie wyglądasz najlepiej - powiedziała Shannon.

- Ciekawe dlaczego? - Jedną ręką trzymał się za czoło, drugą przyciskał ręcznik do potylicy. Pomału rozglądał się dookoła. Znajdowali się w kabinie jakiejś łodzi. Słyszał uderzenia fal o kadłub i głucho dudnienie silnika pracującego pełną mocą.

Zastanawiał się, kiedy znów zobaczą porywaczy. Musiał w jakiś sposób stawić im czoło, ale potrzebował trochę czasu, żeby się pozbierać.

Shannon przyglądała mu się z wielką troską. To było budujące. Martwiła się o niego.

Od chwili gdy zobaczył ją po raz pierwszy, wiedział, że ta kobieta sprowadzi kłopoty.

Spróbował się skupić i zorientować w sytuacji.

- Czy któryś z nich powiedział, dokąd nas zabierają? - spytał.

- Słyszałam coś o jachcie Guardina czy o czymś takim. - Przyjrzała się mu uważnie. - Jesteś pewien, że powinieneś tak się kręcić? Oberwałeś naprawdę mocno.

Podniósł się z trudem i usiadł na kanapce przy małym stoliku. Shannon szybko usiadła naprzeciw niego.

- Myślę, że będę żył - powiedział. - Ale wydaje mi się, że kiedy zobaczę jeszcze kiedyś łobuzów napastujących kobiety, będę bardziej powściągliwy.

- Przecież ich było trzech.

Danowi nie zależało na jej uznaniu. Ale zrobiło się mu przyjemniej. W końcu porwał się na trzech wielkich zbirów. Choć

tak naprawdę do głowy mu nie przyszło, że ktokolwiek mógłby podstępnie i nieuczciwie go zaatakować.

Tak jak nie przypuszczał, że zostanie poturbowany i porwany, gdy stanął na drodze przemytnikom, którzy wykorzystywali jego ranczo jako tajne lądowisko dla samolotów.

Czy los musiał dawać mu aż tak dotkliwe nauczki?

Sam był sobie winien. Po co wtykał nos w nie swoje sprawy?

Sytuacja, w jakiej znaleźli się z Shannon, była nie do pozazdroszczenia. Dan zastanawiał się, dlaczego nikt nie próbował powstrzymać porywaczy. Ale przecież o tej porze roku na plaży prawie nie było ludzi. Nikt nie miał pojęcia o ich losie. Można było spokojnie wyrzucić ich za burtę i przepadliby bez śladu.

Do tej pory sądził, że jest mu obojętne, czy będzie żył, czy nie. Kiedy jednak w końcu zdał sobie sprawę, jakie było jego zdanie w tej kwestii, odebrano mu możliwość decydowania o sobie.

Po ostatniej rozmowie z Mandy czuł się fatalnie. Miał nadzieję, że jeszcze kiedyś się z nią zobaczy, że będzie mógł ją przeprosić. Dopiero z tej nowej perspektywy zobaczył, ile cierpliwości Rafe i Mandy okazali mu w ostatnich miesiącach.

Należał się mu naprawdę solidny kopniak.

Shannon wstała i wyjrzała przez bulaj. Co za figura! pomyślał Dan. Zamknął oczy. Nie pora na zbytki! Czyż nie przez to właśnie wplątał się w tę kabałę?

Niezbyt dokładnie pamiętał szczegóły. Uznał jednak, że powinien się postarać, by ta dziewczyna została jednak jego gospodynią.

Czegóż więcej może chcieć prawdziwy mężczyzna?

Odłożył ręcznik i ostrożnie zaczął obmacywać czaszkę. Krwawienie chyba już wreszcie ustało. Podszedł do urny walki i odkręcił kurek. Na szczęście z kranu popłynęła woda. Zmoczył więc ręcznik.

Shannon odwróciła się.

- Co robisz? - spytała.

- Chcę zmyć krew z głowy.

- Pozwól, pomogę ci. - Podeszła do niego. Delikatnie dotykała mokrym ręcznikiem jego głowy. A jej piersi muskały przy tym jego ramię. Zadrżał i odsunął się.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam cię urazić.

- Ach, to nic takiego! Po prostu trochę mi zimno.

- Poszukam, może znajdę tu jakieś ubrania. - Podniosła siedzisko kanapki i po chwili z radosnym okrzykiem wydobyła ze schowka gruby marynarski sweter. Powąchała go. - Trochę czuć go stęchlizną, ale chyba jest czysty. - Wytrzepała go energicznie i podała Danowi. - Włóż go. Zawsze będzie ci choć trochę cieplej.

Z radością włożył sweter. Poczuł ból, gdy wciągał go przez głowę. Przez grubą warstwę wełny usłyszał, że Shannon coś mówiła, ale nie rozumiał słów.

- Co powiedziałaś? - spytał po chwili. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo był przemarznięty.

- Już rano, kiedy zobaczyłam cię w kąpielówkach, chciałam cię o to spytać. Skąd masz tę bliznę na ramieniu?

Uśmiechnął się ponuro.

- To jest rodzaj memento. Otrzymałem je, kiedy wydałem walkę przemytnikom, którzy zrobili sobie z mojego rancza punkt przerzutowy.

- Strzelali do ciebie? - Jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki.

- Mówiąc szczerze, nadal uważam, że to był przypadek. Wystraszyłem ich. To byli tylko kurierzy. Sądziłem, że wiem o wszystkim, i nie spodziewałem się żadnych trudności.

- Poważnie cię zranili?

- Dostyc. Mogli mnie tam zostawić i może następnego dnia znalazłby mnie któryś z moich pracowników. Oni jednak zała-

dowali mnie do samolotu i zabrali do Meksyku. - Potrząsnął głową na samo wspomnienie tamtej historii. Z nadzieją pomyślał, że może tym razem sprawy potoczą się inaczej.

- Miałeś szczęście, że cię nie zabili.

- Owszem. Miałem dużo szczęścia. W dodatku rana była zapaskudzona, wdało się zakażenie, a w okolicy nie było antybiotyków. Było już ze mną naprawdę kiepsko, kiedy Rafe odnalazł mnie po kilku tygodniach.

- Rafe McCłain? - spytała. - Pamiętam, że w szkole byliście przyjaciółmi.

- Tak. Dosłownie uratował mi życie.

- Jaka szkoda, że teraz nie może nam pomóc. - Podeszła do iluminatora. - Och! Chyba coś widzę. Statek. Nie, jacht. Ale olbrzymi. Wspaniały!

Łódź zwolniła. Ktoś głośno coś zawołał. Dan napomniał się w myślach, by nie robić więcej niczego nie przemyślanego. Odgrywanie bohatera mogło skończyć się tragicznie.

- No, cóż. Wygląda na to, że dotarliśmy do miejsca przeznaczenia - powiedział ostrożnie. Nie chciał przestraszyć Shannon.

Odwróciła się ku niemu.

- Wiem, że straszny ze mnie tchórz, ale cieszę się, że nie jestem sama.

Dan wstał ostrożnie, by nie uderzyć głową w sufit.

- Ja też cieszę się, że nie jesteś sama.

Shannon nagle załkała cicho, objęła go i przytuliła. Otoczyła ją ramionami. Na pewno miał prawo złościć się na nią, ale jednak starała się mu pomóc. Nawet jeśli tego nie chciał.

Usłyszeli jakieś poruszenie na pokładzie. Shannon zeszywniała w objęciach Dana. Jeden z porywaczy uchylił klapę zejściówki i zajrzał do środka.

- Obudziłeś się - zauważył i uśmiechnął się krzywo. - To

dobrze. Nie będzie trzeba wciągać cię na pokład. No, chodźcie. Nie będziecie tu siedzieć przez cały dzień.

Dan wyszedł na pokład i rozejrzał się dookoła. Wokół widać było tylko morze. Ani śladu lądu. Jeden z mężczyzn wspinał się właśnie po trapie na pokład jachtu, pozostali dwaj rozglądali się z niecierpliwością. Za sterem stał jeszcze jeden człowiek. Wyraźnie unikał wzroku Dana.

Dan odwrócił się bez słowa i podał rękę Shannon. Potem przeszli po trapie, eskortowani przez dwóch osiłków. Kiedy tylko znaleźli się na pokładzie, sternik machnął ręką i z rykiem silnika odpłynęli.

Shannon drżała. Robiło się coraz zimniej. Dan otoczył ją ramieniem i przytulił. Widać było, że się bała. Ale nie winił jej za to. Sam wcale nie czuł się zbyt pewnie.

- Kim oni są, do cholery?!

Na pokładzie pojawił się wysoki, dobrze zbudowany, siwo-włosy mężczyzna. Z zachowania i postawy znać było, że to on był tu najważniejszy.

Dan przyglądał się mu, a gniew narastał w nim z każdą chwilą. Przywódca porywaczy zwrócił się do siwowłosego faceta.

- Bardzo mi przykro, panie Guardino, ale nie dało się inaczej. Rozmawialiśmy właśnie z dziewczyną Doyle'a, kiedy ten typek się wtrącił. Al stuknął go trochę, żeby go powstrzymać. Nie chcieliśmy potem zostawiać go na plaży. A że panienka uparcie twierdziła, że nic nie wie o Taylorze, pomyślałem, że zabierzemy ich oboje. Na wypadek, gdyby pan chciał sam wpłynąć na jej pamięć.

Guardino z dezaprobatą pokręcił głową.

- Coś podobnego! - powiedział. - Dałem wam proste zlecenie, a wy wracacie z prokuratorem na karku!

Dan popatrzył na Shannon. Nie odezwali się ani słowem. Nie wiedział, czy bać się, czy cieszyć? Czy nadgorliwość pachołków

Guardina oznaczała zagrożenie, czy może szybki powrót na brzeg?

Guardino podszedł bliżej i przyglądał się Danowi z zaciekawieniem.

- Jak pan się nazywa? - spytał.

- Dan Crenshaw.

- Czy zechciałby pan wyjaśnić mi, w jaki sposób wpłatał się pan w to wszystko? - W jego głosie dźwięczała z trudem tajona irytacja.

Od kiedy Dan odzyskał przytomność, nieustannie zastanawiał się, jak powinien postąpić. Nie miał zbyt dużego wyboru. Przede wszystkim musiał zdecydować, czy powinien uwierzyć Shannon. Mogła przecież zataić przed nim to i owo. Niestety, nie miał czasu na wyjaśnianie wątpliwości.

Na początek postanowił wyraźnie zaznaczyć, że Shannon była pod jego opieką.

- Nie mam pojęcia, co tu się dzieje! Kiedy zobaczyłem, że pańscy ludzie zaczepiali moją narzeczoną, ruszyłem jej na ratunek.

Przytulił Shannon mocniej i uśmiechnął się tak ciepło i serdecznie, jak tylko było to możliwe w tych okolicznościach. Poczował, że dziewczyna zeszywniała w jego objęciach. Lecz na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

- Narzeczoną?! Od kiedy? O ile wiem, to jest dziewczyna Ricka Taylora.

Przyszła pora na Shannon.

- To nieprawda! - zakrzyknęła. - Spotkałam się z Rickiem tylko kilka razy. To nie było nic poważnego.

- Ale on twierdzi zupełnie co innego.

- Nie obchodzi mnie, co on twierdzi.

Dan uznał, że przyszła jego kolej.

- Shannon i ja pochodzimy z tego samego miasta. Przez wiele lat byliśmy razem. Aż pokłóciliśmy się i wyjechała do

St. Louis. - Znów posłał jej czułe spojrzenie. - Ale wciąż byliśmy w kontakcie. W końcu poprosiłem, żeby dała mi jeszcze jedną szansę. I wtedy wróciła.

- Wiedział pan, że w St. Louis spotykała się z Rickiem Taylorem?

- Wspomniała o tym.

Guardino przyglądał się im w milczeniu. Potem pokręcił głową.

- Wejdźmy do środka - powiedział. - Wiatr się wzmaga.

Guardino kazał jednemu z członków załogi znaleźć dla nich jakieś suche ubrania i miejsce, gdzie mogliby się przebrać. Potem odwrócił się na pięcie i odszedł.

Jeden z porywaczy klepnął Dana po plecach.

- No, dobra, kochasiu. Idziemy.

Dan zacisnął pięści. Chętnie wyrzuciłby drania za burtę. Obiecał sobie, że jeszcze kiedyś policzy się z nimi, ale na razie postanowił zachować spokój.

Kiedy szli za marynarzem, nie wypuszczał Shannon z objęć. W końcu dotarli do jakichś drzwi.

- Proszę wejść - powiedział grzecznie marynarz. - Uwaga na głowę.

Dan puścił Shannon przodem. Drzwi za nim zostały zamknięte. Znaleźli się w niewielkiej kabinie. Były tam dwie koje, szafa, stół i dwa krzesła. Za następnymi drzwiami Dan odkrył toaletę i miniaturowy prysznic.

Shannon objęła się ramionami.

- Nie musiałeś wygadywać, że zamierzamy się pobrać. Powinieneś być raczej udawać, że wczoraj zobaczyłeś mnie po raz pierwszy w życiu. Co w końcu jest niemal prawdą.

- Wiem. Wciąż powinienem grać Galahada. Ale pomyślałem, że jeśli zobaczą, że nie jesteś sama, będą traktować cię trochę lepiej. Taką przynajmniej mam nadzieję.

- Nigdy nie byłam w takiej sytuacji. Zupełnie nie wiem, co mam robić.

- Współpracuj z nimi - odparł. - Tak jest najbezpieczniej.

- Wyrzał przez bulaj. Wokół tylko woda i woda. I słońce zbliżające się do horyzontu. - Chciałbym wiedzieć, która godzina.

- Nie mam pojęcia.

- Kiedy zobaczyłem cię z tymi typami, minęło już południe. O tej porze roku słońce zachodzi około szóstej. A zatem musimy być daleko od brzegu.

- Tak bardzo martwiłam się o ciebie, że w ogóle nie zwracałam uwagi na nic innego.

Podszedł do niej.

- Naprawdę nie wiesz, dlaczego szukają tego Ricka?

- Nie wiem.

- Jak go poznałaś?

- Przez koleżankę z pracy. Zwykle spotykałyśmy się z chłopcami we dwie. Któregoś razu ona nie przyszła i spędziłam cały wieczór tylko z Rickiem. Wtedy zauważyłam, że straszny z niego karciarz.

- Aha! Wreszcie coś rozumiem.

- Tak? - spytała zdziwiona.

- Ten twój chłopak musiał zniknąć, nie spląciwszy karciających długów.

- Nie przyszło mi to do głowy.

- Byłaś z nim kiedykolwiek, kiedy grał?

- Przepadał za kasynami na rzecznych statkach. Zawsze mówił, że nigdy nie stawia więcej, niż może sobie pozwolić. Kilka razy sama widziałam, że wygrał dużo. Ale czasami przegrywał tyle, że zaczynałam się bać.

- Skoro tak, to prawie na pewno ten Rick ma długi także w innych miejscach. - Dan przysiadł na koi. - Nasi prześladowcy będą chcieli dowiedzieć się wszystkiego, co wiesz o tym

gościu, o jego przyjaciółach, rodzinie. Będą chcieli poznać ich nazwiska i numery telefonów, wszystko, co pozwoliłoby im odnaleźć Ricka.

- Przecież powiedziałam im, że prawie nic o nim nie wiem. Ot, spotkaliśmy się kilka razy. Nic więcej.

- Dobrze - powiedział Dan. - Możliwe, że ci uwierzyli i że niedługo odwiozą nas na brzeg. Ale sądzę, że nie nastąpi to tej nocy. Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci spanie w jednym pomieszczeniu ze mną, ponieważ pod żadnym pozorem nie zamierzam dopuścić do tego, by nas rozdzielili.

- Dziękuję ci. Doceniam wszystko, co dla mnie robisz. - Uśmiechnęła się. - Z tobą czuję się bezpiecznie.

Niemożliwe, aby była aż tak naiwna. Przecież mężczyźni nie może przytrafić się nic gorszego niż kobieta mówiąca mu, że ufa w jego honor i dobre maniere.

Niech to diabli! Gdyby Rafe wiedział, co go znowu spotkało, śmiałyby się do rozpuku. Tym razem jednak Dan zamierzał poradzić sobie sam. Bez niczyjej pomocy.

Przynajmniej nie groziła mu kolejna dziura od kuli. Ale za to przyszło mu walczyć z własnymi żądzami, które budziła w nim ta cudowna dziewczyna.

Czy to nie za dużo szczęścia?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Ktoś zastukał do drzwi. Dan wstał i otworzył je. Marynarz, który ich tu przyprowadził, przyniósł kilka sztuk odzieży.

- Obawiam się, że nie znajdziemy nic więcej - powiedział.
- Ale przynajmniej te rzeczy są suche.

- Dziękuję - powiedział Dan.

- Zaczekam na korytarzu. Kiedy państwo się przebiorą, zaprowadzę państwa do salonu, gdzie czeka pan Guardino.

- W porządku. - Dan zamknął drzwi i obejrzał ubrania. Była tam duża bluza od dresu, kilka bawełnianych koszulek i dwie pary spranych dżinsów. Przyjrzał się spodniom uważnie. Nie było żadnej szansy, by któreś pasowały na Shannon.

- Mam pomysł - powiedział. - Ta bluza jest tak długa, że chyba możesz nosić ją jako sukienkę. Proszę, wejdź tam - wskazał drzwi do łazienki - i przymierz.

Kiedy wyszła, Dan ściągnął kapielówki i sięgnął po dżinsy. Były trochę przykrótkie i nieco za ciasne, ale można było w nich chodzić. Zdjął sweter i wybrał jedną z koszulek. Na wodzie było jednak chłodniej niż na lądzie.

Tylko butów nie mieli. Ale na to nic nie można było poradzić.

Usłyszał skrzyknięcie otwieranych drzwi i odwrócił się. Shannon wyglądała jak mała dziewczynka w ubraniu swojego ojca. Rękawy bluzy, która sięgała jej niemal do kolan, podwinęła prawie do łokci.

- Świetnie wyglądasz - powiedział.

Wyglądała porywająco. Zabawne, ile może zdziałać wyobraźnia. Gdy miała na sobie skąpy strój plażowy, nie podniecała go tak bardzo jak teraz, okryta po szyję.

Spokojnie, chłopcze, pomyślał. Nie pora na takie marzenia.

Posłał jej uśmiech. Wyobrażał sobie, że był to uśmiech pełen otuchy.

- Jesteś gotowa zmierzyć się z naszym gospodarzem? Obawiam się, że on dopiero zaczął przesłuchanie.

Shannon westchnęła ciężko.

- Chyba nie mam wyboru - powiedziała. - Mam nadzieję, że zdołam przekonać go, że naprawdę nic nie wiem o Ricku.

- Chodźmy! - Podał jej rękę. - Może jeśli będziemy wystarczająco grzeczni, Guardino okaże litość i nakarmi nas?

Marynarz poprowadził ich długim korytarzem. Znaleźli się w dużym pomieszczeniu urządzonej z przepychem.

Dan pomyślał, że chyba jednak niepotrzebnie bał się czekającej ich rozmowy. Guardino to człowiek interesu, pomyślał. Ktoś był mu winien pieniądze, więc szuka sposobów, by je odzyskać. Kiedy tylko przekona się, że ani Dan, ani Shannon nie mogą mu pomóc, przestaną być potrzebni.

Tylko co dalej? Każe wyrzucić ich za burtę? Chyba jednak nie. Tylko czy odeśle ich na wyspę?

Guardino stał przy doskonale zaopatrzonym barku. Na małym stoliku obok stała wielka taca pełna przystawek. Wskazał ją gestem i powiedział:

- Proszę się częstować. Czego się państwo napiją?

- Poproszę o kawę. - Dan usiadł i sięgnął po tartinkę. Shannon spojrzała nań okrągłymi ze zdumienia oczami. Siadła obok niego i także sięgnęła po tartinkę.

- A co dla pani, panno Doyle?

- Poproszę o szklankę wody.

- Jak pani sobie życzy. - Guardino wysoko uniósł brwi.

Napełnił wodą kryształową szklanę, wlał kawę do filiżanki i ustawił wszystko na tacy, z którą podszedł do stolika.

Usiadł naprzeciw nich.

- Państwo pozwolą, że się przedstawię. Jestem Gianni Guardino. I winien jestem państwu serdeczne przeprosiny. Zupełnie nie rozumiem, co moi ludzie chcieli osiągnąć, przywożąc was tutaj.

Dan zjadł kolejną kanapkę i sięgnął po następną. Shannon również nie dała się prosić. Od śniadania upłynęło wiele godzin.

Wypiła łyk wody i spojrzała w twarz Guardina.

- Skoro zadał pan sobie tak wiele trudu, by mnie odnaleźć, domyślam się, że pańscy ludzie wypełniali pana rozkazy.

Dan popijał kawę, nie podnosząc oczu. Nutka irytacji w głosie Shannon brzmiała zdumiewająco uroczo. Wystraszona czy nie, nie zamierzała składać broni.

- Jeśli mam być szczery, panno Doyle, kiedy Taylor zniknął, pomyśleliśmy, że wyjechaliście razem. Ustaliliśmy, że pojechała pani do Teksasu. I że ma tam pani rodzinę. Skontaktowaliśmy się z nimi i stąd znaleźmy pani wakacyjne plany. - Popatrzył na Dana z wahaniem. - Jednak nasz rozmówca nie wspominał o narzeczonym.

- Musiał pan rozmawiać z moją babcią - powiedziała Shannon z leciutkim drżeniem głosu.

- Tak, to możliwe.

Rzuciła okiem na Dana.

- Babcia nic nie wie o naszych zaręczynach.

Dan poklepał ją po dłoni.

- W porządku, kochanie. Możesz powiedzieć mu prawdę.

Posłała mu zaniepokojone spojrzenie.

- Prawda jest taka - ciągnął Dan - że jej rodzina mnie nie zaakceptowała. Dlatego postanowiliśmy spotkać się na wyspie. Żeby omówić wszystkie szczegóły, zanim oznajmimy im, że znów jesteśmy razem.

Guardino zamyślił się.

- A Ricka Taylora zaakceptowali? - spytał po chwili.

Shannon westchnęła.

- Z Rickiem nigdy nie łączyło mnie nic poważnego. Nawet o nim nie wiedzieli. Spotykaliśmy się od czasu do czasu i to wszystko. Naprawdę nic o nim nie wiem.

Guardino opadł na oparcie. Przyglądał się Shannon przez długą chwilę.

- Jestem bardzo zawiedziony - mruknął. Odstawił na blat opróżnioną szklaneczkę.

- Mówiłam to już pana ludziom, ale nie chcieli mi uwierzyć.

Zapadła cisza, słychać było tylko tykanie zegara. Dan podniósł głowę. Dochodziła piąta. Zaraz zrobi się ciemno, pomyślał.

Guardino podszedł do barku i przygotował sobie kolejny koktajl. Wrócił do stolika, usadowił się wygodnie i powiedział:

- No cóż, panno Doyle, sytuacja wygląda następująco. Uważam, że gdyby wiedziała pani, gdzie jest Rick, i gdybym panią poprosił, by nie zdradziła tego nikomu, usłyszałbym dokładnie to samo, nie sądzi pani? Dlatego moi ludzie woleli, żebym sam osądził, czy mówi pani prawdę, czy nie.

Dan wciąż jadł. Jak dotąd, rozmowa nie dotyczyła go bezpośrednio. Guardino był bystry. I umiał oceniać ludzi. Ale to nie była niespodzianka. Inaczej nie osiągnąłby swojej pozycji.

- Problem sprowadza się więc do tego, czy wierzy pan jej, czy nie - powiedział Dan ostrożnie.

Guardino pokiwał głową, zamyślony.

- Tak. To jest zasadnicza kwestia. Widzi pan, wersja Taylora diametralnie różni się od wersji panny Doyle.

- Jego wersja? - powtórzyła Shannon. - Nie rozumiem.

- Rick jest w pani ślepo zakochany. Wciąż zamęczał wszystkich opowiadaniem o pani. Pokazywał fotografie, mówił o planach na przyszłość - rzucił okiem na Dana. - Najwidoczniej nie

wiedział o pani... wcześniejszych związkach z panem Crenshaw.

Dan gorączkowo zbierał myśli.

- No wiesz, Shannon! - zawołał. - Rozbudziłaś w tym biedaku nadzieję tylko po to, by odegrać się na mnie? Jestem wstrząśnięty i zawstydzony.

Popatrzyła nań kątem oka.

- To nie było tak - zwróciła się do Guardina. - Nie wiedziałam, że on ma moje fotografie. Chociaż, rzeczywiście, raz zabrał ze sobą aparat. Może wtedy zrobił mi potajemnie kilka zdjęć? Ale na pewno nigdy nie dawałam mu powodów, by mógł przypuszczać, że traktuję naszą znajomość jako coś więcej niż przyjaźń.

- Spotykała się pani w tym czasie jeszcze z kimś innym?

- Nie. Podczas pobytu w St. Louis prawie w ogóle z nikim się nie widywałam. - Posłała Danowi znaczące spojrzenie. Jakby była pewna, że znał przyczynę.

- Jak rozumiem, pracowała pani jako doradca techniczny w firmie komputerowej, czy tak?

Skinęła głową.

- Teraz rzuciła pani tę pracę i wróciła do Teksasu?

- Tak.

Guardino wpatrywał się w nią bez słowa. Dan uznał, że nadeszła jego kolej.

- Tęskniła za mną, rozumie pan - powiedział skromnie. Shannon spiorunowała go wzrokiem. Odpowiedział jej promiennym uśmiechem. Pochylił się i pocałował ją w policzek.
- Wiem. Trudno ci przyznać się do pomyłki. Ale na dłuższą metę warto, prawda?

Guardino prychnął z niezadowoleniem.

- Spotkała pani kiedykolwiek któregoś z przyjaciół Taylora?
- spytał. - Albo kogoś z jego rodziny?

- Poznałam jego przyjaciela. Spotykał się z moją koleżanką z pracy, jeszcze zanim poznałam Ricka. Chad Harris... Chyba tak się nazywał.

- Hmm... - Guardino przyniósł z baru dzbanek z kawą i napełnił filiżankę Dana. - Czy Taylor kiedykolwiek mówił coś o swojej rodzinie?

- Nie przypominam sobie.

- Czy kiedykolwiek mówił też, czym się zajmuje? Jak zarabia na życie?

- Mówił, że zajmuje się inwestycjami.

- Inwestycjami - powtórzył Guardino z niedowierzaniem.

- Naprawdę? - Potrząsnął głową. - Co za idiota - mruknął.

- A co on robił? - spytał Dan.

- Pracował dla mnie. Obsługiwał niektórych moich klientów. Prowadził ich rachunki, pilnował, by wszystko szło jak należy, odbierał należności.

Dan siedział z kamienną twarzą. Lecz w głowie kłębiły mu się gorączkowe myśli. Tu nie chodziło o długi karciane. Chociaż i one wchodziły w rachubę. Milutki Taylor najprawdopodobniej zajmował się ściąganiem dla Guardina różnych podejrzanych długów. I pewnie któregoś dnia postanowił zniknąć z forsa szefa. Nic dziwnego, że szukali go tak uparcie.

- Pytał pan Chada Harrisa, czy widział się z Rickiem? - zapytała Shannon.

Guardino kiwnął głową.

- Chad wyznał na koniec, że o niczym nie wie.

W sposobie, w jaki Guardino to powiedział, było coś, co zmroziło Dana. Zastanawiał się, czy Harris przebywał wciąż wśród żywych. A jeśli tak, to w jakim był stanie?

Ale choć zaczął bać się jeszcze bardziej, wciąż nie widział dla nich obojga innego wyjścia, jak tylko brnąć dalej.

Tylko jak miał to zrobić, gdy nie wiedział, czy męczące go

mdłości były skutkiem żeglugi po rozkołysanym morzu, czy może czegoś innego?

W tym momencie butelki w barku zadźwięczały, a stół nieco się przesunął. Dan i Shannon w ostatniej chwili chwycili uciekającą zastawę.

Guardino szybkimi krokami podszedł do wiszącego na ścianie telefonu. Nie rozumieli słów, lecz z tonu wypowiedzi domyślili się, że komuś porządnie zmyto głowę za tak nieostrożną żeglugę.

Korzystając z okazji, Dan spojrzął na Shannon. Nie spodobało mu się to, co zobaczył. Była blada jak prześcieradło. A oczy miała wielkie jak talerze.

- Tylko na mnie nie zwymiotuj - szepnął.
- Nie o to chodzi - odparła równie cicho. - Czy pojąłeś, czym zajmował się Rick?
- O, tak, ale miałem nadzieję, że ty się nie domyśliłaś.
- On musiał ukraść pieniądze.
- ...żeby spłacić karciane długi - wtrącił Dan. - Rety! Ale sobie chłopaka znalazłaś.
- Widywałam się z Rickiem za sprawą mojej przyjaciółki. Łatwiej było spotkać się z nim raz czy drugi, niż tłumaczyć, dlaczego nie chcę się z nim umówić.
- W St. Louis pracowałaś w firmie komputerowej?
- Tak.
- Nie przypuszczam, żebyś miała przy sobie swój życiorys, ale tak się właśnie składa, że potrzebuję...
- Bardzo śmieszne, Dan. Czy ktoś już ci powiedział, że powinieneś popracować nad swoim poczuciem humoru?

Może i tak. Ale udało się mu przynajmniej sprawić, że rumieńce wróciły na policzki Shannon. Wciąż nie był pewien, dlaczego wtargnęła w jego życie. Będzie musiał porozmawiać z nią o tym, kiedy tylko wróci na brzeg. Jeżeli chodziło jej o to,

żeby zwrócił na nią uwagę, udało się jej. Lecz zdecydowanie nie pochwalał takiej formy starań o pracę.

Trzaśnięcie słuchawki telefonicznej o widełki wyrwało go z zamyślenia. Z obawą popatrzył na nabiegłą krwią twarz gospodarza.

- Kapitan właśnie mnie poinformował - Guardino wolno cedził słowa - że od południa zbliża się głęboki niż tropikalny. Straż Wybrzeża ogłosiła ostrzeżenie przed silnym sztormem.

- No, tak! - Dan pokiwał głową. - Powinniśmy wrócić do portu. Chyba nie jesteśmy zbyt daleko od brzegu, prawda?

- Nie mam zamiaru nawet zbliżać się do lądu gdziekolwiek w Teksasie.

- Proszę nie przejmować się naszą reputacją - mruknął Dan z uśmiechem. - Tak naprawdę jesteśmy skromnymi i przyzwoitymi ludźmi. Czasami może trochę aroganckimi, ale w tych stronach to tolerują.

- Gdyby zobaczono mnie w tej okolicy, niektórzy ludzie mogliby podejrzewać, że jestem zainteresowany rozpętaniem jakiejś wojny. A tak wcale nie jest. Kapitan dowiezie nas do Nowego Orleanu najszybciej, jak to będzie możliwe.

- Do Nowego Orleanu?! - Shannon aż podskoczyła. - Nie może pan kazać odstawić nas na brzeg motorówką?

- Nie przy tak dużej fali. Przykro mi. Proszę się rozgościć, gdyż przez kilka najbliższych dni będą państwo skazani na moje towarzystwo.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Dan wstał.

- Mam nadzieję, że przemyśli pan to raz jeszcze. W końcu nic nie przeszkodziło panu w wysłaniu trzech ludzi, by nas pojмали. Moglibyśmy wrócić równie łatwo na wyspę.

- Chciałbym, żeby to było takie proste. Fala jest teraz o wiele większa niż rano. Nie mogę tracić czasu na odwożenie was na wyspę. Możecie jednak przez cały czas korzystać z mojego statku do woli.

- W takich strojach? - spytała Shannon.

- Nic lepszego nie zdołaliśmy znaleźć. Ale może jeszcze nie wszystko stracone. Oddam wam do dyspozycji najlepszą kabinę. Prawdziwy apartament. - Guardino zatarł dłonie z zadowoleniem. - A teraz powinien już być gotowy obiad. Proszę za mną.

Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Dan wyjrzał przez niewielkie okno i zaklął pod nosem. Zobaczył tylko wściekle kłębiące się fale. Stawały się coraz większe.

- Wcale nie jestem pewien, czy chciałbym teraz znaleźć się na morzu w małej łodzi - powiedział. - Chodź, zobacz.

Stanął obok niego.

- O mój Boże!

- To samo pomyślałem.

- Czy tutaj jesteśmy bezpieczni?

- Cholera wie. Nigdy nie fascynowało mnie pływanie. Znacznie pewniej czuję się na stałym lądzie.

- To zupełnie jak ja.
- Widzisz, znaleźliśmy coś, w czym się zgadzamy. To musi być znak opatrności.
- To wcale nie jest zabawne.
- Chyba zauważyłaś, że ja wcale się nie śmieję? Nawet nie zachichotałem. Mnie też nie podoba się nasza sytuacja, ale zupełnie nie mam pomysłu, co moglibyśmy zrobić. I wciąż jestem głodny. Skoro nasz gospodarz podjął się nas karmić, powinniśmy skorzystać z jego uprzejmości.

Shannon posłała mu najbardziej lodowate spojrzenie na świecie i minęła go bez słowa, z wyniośle uniesioną głową.

Ach, te kobiety!

Zdumiewające i nieodgadnione.

A przecież tylko starał się być uprzejmy.

Shannon nie mogła w to uwierzyć. Absolutnie. To się wprost nie mieściło w głowie!

Została uwięziona na jachcie wraz z Danem Crenshawem. I to w roli jego narzeczonej. Nigdy nie przydarzyło się jej nic równie upokarzającego.

Kiedy Mandy zdradziła jej swoje troski o brata, bez wahania podjęła ryzyko. Nie wiedziała, jak Dan zareaguje na jej obecność, ale święcie wierzyła, że jest w stanie mu pomóc. Zgoda, liczyła też, że przy okazji Dan zwróci na nią uwagę, zainteresuje się nią. Ale nigdy nie przypuszczała, że oboje wpadną w taką pułapkę! Nigdy w życiu nie była równie zakłopotana i zażenowana.

A teraz miała dzielić z nim kabinę?!

Wszystko układało się jak najgorzej. I to była tylko jej wina.

Kiedy weszli do jadalni, zatrzymała się, urzeczona jej pięknem. Nie oszczędzano tu pieniędzy. Zastanawiała się, gdzie pan Guardino trzymał swój jacht, kiedy na nim nie pływał. Czy jego portem macierzystym był Nowy Orlean? Czy może St. Louis?

Z całego serca zapragnęła dopaść Ricka Taylora. Spłaciłby wszystkie długi, co do grosza, nimby wyzionął ducha.

To przecież przez niego znalazła się w takich tarapatach.

A poczucie humoru Dana nie pomagało jej ani trochę.

Zaręczeni? Co Crenshaw chciał osiągnąć, mówiąc, że byli zaręczeni? Czy nie mógł powiedzieć, że są po prostu przyjaciółmi? Teraz musieli ciągnąć tę farsę. Z każdą chwilą coraz bardziej krępująca.

- Zechcą państwo usiąść? - zaprosił ich Guardino. - Kazałem już przygotować kabinę dla państwa. Dowiedziałem się również, że moja córka zostawiła na pokładzie trochę rzeczy. Mam nadzieję, że znajdzie tam pani coś dla siebie.

- Dziękuję. - Shannon usiadła. Dan zajął miejsce naprzeciw niej.

- Życzą sobie państwo wino do posiłku?

- Nie, dziękuję - odparła.

Dan przecząco pokręcił głową.

Jedli niemal w całkowitej ciszy. Shannon była wyczerpana.

Gdy tylko skończyła jeść, przeprosiła stołowników i wstała. Guardino wezwał jednego z członków załogi, by wskazał jej drogę do kabiny.

Kiedy tylko dotarła na miejsce, zrozumiała, w jak wielkie wpadła tarapaty. Było tam tylko jedno łóżko! Choć duże, było stanowczo zbyt małe, by mogła dzielić je z Danem. Widziała jednak tylko dwa rozwiązania. Albo poprosić o osobną kabinę, albo spać na podłodze.

Gdyby Guardino nabrał podejrzeń, że choć raz go okłamała, mógłby pomyśleć, że wszystko inne też było łgarstwem. A tego nie chciała.

Za to łazienka była naprawdę ogromna, wyposażona także w mydła, szampony i odżywkę. Shannon wykapała się, umyła

włosy i wróciła do kabiny, by poszukać czegoś do ubrania. Jeśli dobrze rozumiała, była to kabina córki Guardino.

Zaczęła otwierać szuflady. Znalazła bieliznę dzienną i nocną. Wyjęła biustonosz, by mu się przyjrzeć. Kiedy słuchała Guardina, wyobrażała sobie, że jego córka była niewinną licealistką. Teraz przekonała się, w jak wielkim była błędzie.

Przejrzyste, koronkowe i satynowe fatałaszkę aż kipiały od podniecających pokus. Przyłożyła do siebie staniczek i odłożyła go z niesmakiem. Był na nią za obszerny. Cisnęła wszystko do szuflady i wysunęła następną. Tu leżały bawełniane koszulki, szorty i dżinsy. Też za duże na nią, ale w tym przypadku nie raziło to aż tak bardzo.

Włożyła T-shirt. Będzie w nim spała, bo wspólna noc z Danem w którejś z frywolnych nocnych koszulek w ogóle nie wchodziła w rachubę. Z pierwszej szuflady wyciągnęła tylko majteczki. Wróciła do łazienki i przebrała się..

Koszulka sięgała jej do połowy ud. Trudno. Kiedy pomyślała o tych zwiewnych i półprzezroczystych fatałaszkach, zadrżała.

Córka!

Akurat!

Shannon wśliznęła się do łóżka i ułożyła tak blisko ściany, jak tylko mogła. Zostawiła włączoną nocną lampkę, naciągnęła kołdrę po same uszy i po minucie już spała.

Dan rozparł się wygodnie w fotelu. Przez stół przyglądał się gospodarzowi.

- Nadal proponuję panu coś do picia - powiedział Guardino.
- Czyżby pan był abstynentem?

Dan przypomniał sobie piekielny ból głowy, z jakim wstał tego ranka, i omal nie parsknął śmiechem.

- Powód jest bardzo prosty - powiedział. - Ostatnio wię-

kszość czasu spędziłem na stałym lądzie. Nie chcę kusić losu. Zwłaszcza gdy fale robią się coraz większe.

- Sprytnie. - Guardino uśmiechnął się. - Zna pan swoje możliwości. Proszę mi powiedzieć, Dan, czym pan się zajmuje?

- Jestem na emeryturze.

- Naprawdę?! Chyba jest pan trochę za młody. Co pan robił przedtem?

- Miałem fabrykę elektroniczną. Montowaliśmy podzespoły komputerowe.

- Całkiem niezły interes. Nieustannie rozwijająca się dziedzina.

- Staralem się, by tak było i u mnie.

- Dobry fachowiec zawsze może liczyć na pracę w mojej organizacji. Pogadajmy. Przed nami długi wieczór.

- Może innym razem. Teraz, mówiąc szczerze, marzę tylko o tym, by pójść spać. Ten piekielny ból głowy nie pozwala mi myśleć.

Guardino odsunął się od stołu i wstał.

- W kabinie znajdzie pan proszki przeciwbólowe. Tymczasem proszę raz jeszcze przyjąć moje przeprosiny za tę zupełnie niepotrzebną brutalność. Nie chciałbym, by nabrał pan przekonania, że tak właśnie prowadzę swoje interesy.

- Boże uchwaj! - Dan wstał. - Czy ktoś mógłby pokazać mi, gdzie będę spał tej nocy?

- Ze swoją narzeczoną, oczywiście. Przynajmniej tyle mogę zrobić, by jakoś wynagrodzić wam przerwane godzenie się.

Świetnie! Tego mi tylko potrzeba, pomyślał Dan. Na szczęście zawsze mogę przypomnieć jej, że strasznie boli mnie głowa.

- Przejrzę zaraz moją garderobę - dodał Guadino. - Poszukam dla pana czegoś odpowiedniejszego. Nosimy chyba rzeczy o zbliżonych rozmiarach.

- Dziękuję. To ładnie z pana strony.

- Teraz ktoś zaprowadzi pana do kabiny.

Stojąc przed drzwiami, Dan zawahał się. Nie wiedział, czy powinien zapukać, czy po prostu wejść. Jeśli Shannon była naprawdę bardzo zmęczona, to zapewne już śpi. A jeśli tak, nie powinien jej budzić. Po namyśle cichutko otworzył drzwi i wśliznął się do środka. Nocna lampka była włączona, a Shannon spała cichutko. Popatrzył na niewyraźny kształt na łóżku i potrząsnął głową. Potrzebował spokoju. Szukał ucieczki od życia. Ciszy i zapomnienia.

Czym zasłużył sobie na to całe zamieszanie? Wszystko przez Ricka Taylora. To przez niego odbywał niechcianą podróż do Nowego Orleanu. W czasie nasilającego się sztormu. Z człowiekiem, który najpierw porwał go przy pomocy uzbrojonych osiłków, a potem zaoferował pracę. Jakby chciał mu się przypodobać. I jakby tego wszystkiego było mało, musi zamieszkać w jednej kabynie z młodą i atrakcyjną dziewczyną. Bardzo atrakcyjną.

Jęknął głucho.

Niczego nie pragnął mniej niż spania w jednym łóżku z Shannon Doyle. I chociaż był na nią wściekły od samego rana, to w jej obecności nie mógł opanować podniecenia.

Jak to o nim świadczyło?

Wolał nie myśleć.

Wspólne łóżko. Trudno. Nie miał wyboru.

Rozejrzał się po kabynie. Ktokolwiek zajmował się jej wystrójem, nie żałował pieniędzy.

W tym momencie usłyszał ciche pukanie. Szybko otworzył drzwi.

Na korytarzu stał jeden z marynarzy. Podał mu naręcze ubrań i odszedł. Dan łokciem zamknął drzwi i przejrzał garderobę. Guardino spisał się całkiem dobrze. Była tam bielizna i skarpetki, spodnie oraz jakiś sweter.

Ciekawe, czy Shannon też znalazła coś dla siebie? pomyślał.

Niestety, nie znalazł piżamy. Nie szkodzi. I tak nigdy czegoś takiego nie wkładał.

Wziął slipy i poszedł do łazienki. Wyszorował się pod prysznicem i umył głowę, ostrożnie omijając ranę na potylicy. Znow poczuł wściekłość. Gdyby tak mógł dopaść tych...

Poszukał jeszcze środka przeciwbólowego i wrócił do kabiny.

Shannon nawet nie drgnęła. Delikatnie usiadł na brzegu łóżka, wyłączył lampkę i ostrożnie wsunął się pod kołdrę. Kiedy już leżał, jeszcze wyraźniej poczuł, jak bardzo wzburzone było morze, po którym płynęli.

Pozostało mu tylko mieć nadzieję, iż rankiem wszystko zmieni się na lepsze.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gwałtowne przechyły i wstrząsy łóżka obudziły Dana. Nie miał pojęcia, ile czasu przespał. Błyskawice za oknem wskazywały, że sztorm wciąż szalał w najlepsze. Kiedy już się rozbudził, wyraźnie usłyszał szum deszczu.

Przewrócił się na plecy i spojrzał na Shannon. Siedziała w kącie, kurczowo trzymając się uchwytu przykręconego do ściany.

- Nie wyśpisz się w ten sposób - powiedział cicho.
- Gdybym się puściła, wpadłabym na ciebie.
- I co? Przynajmniej nie zleciałabyś z łóżka. - Wyciągnął do niej rękę. - Chodź.

W świetle kolejnej błyskawicy ujrzął jej twarz. Shannon była przerażona, choć próbowała tego nie okazywać. Wpatrywała się weń intensywnie. Widać było, że rozważała coś gorączkowo. W końcu podjęła decyzję. Położyła się i pozwoliła, by przechył jachtu rzucił ich na siebie.

Ułożył jej głowę na swym ramieniu.

- Lepiej? - spytał cicho.
- Znacznie.

Miała na sobie bawełnianą koszulkę. I bardzo dobrze. On musiał zadowolić się jedynie pożyczoną bielizną. Postanowił skupić się na tym, by nie spaść z łóżka. Nie mógł sobie pozwolić na roztrząsanie tego, że trzymał w objęciach bardzo ponętą dziewczynę.

- No cóż, droga panno Doyle, może opowiesz mi, tylko

dokładnie, w jaki sposób wpakowałaś się w tę niezwykłą sytuację. - Starał się, by zabrzmiało to jak pytanie dziennikarza przeprowadzającego z nią wywiad.

Bardziej poczuł, niż usłyszał, że parsknęła śmiechem.

- Prawdopodobnie sam zadajesz sobie to pytanie.
- Tak, ale ja wiem, jak się tu znalazłem. Ratując piękną królową, padłem ofiarą smoka. A ty?
- Wygląda na to, że chciałam oddać przysługę przyjaciółce.
- Kim ona jest?

Nie od razu odpowiedziała. Kiedy się wreszcie odezwała, Dan odniósł wrażenie, że nie powiedziała tego, co początkowo zamierzała.

- Koleżanka z pracy ubłagała mnie, żebym poszła na randkę z nieznajomym. To się nigdy nie udaje.
- Rozumiem. A tym nieznajomym był Taylor, tak?
- Tak.
- Dlaczego w ogóle wyjechałaś do St. Louis?
- Skończyłam właśnie szkołę i chciałam zobaczyć więcej świata. Nie tylko Teksas. Znalazłam ofertę pracy i uznałam, że przeprowadzka do St. Louis może być interesująca.
- Byłaś zadowolona?
- Raczej tak. Stamtąd jest tylko pięć godzin jazdy do Chicago. Tyle samo do Memphis. Podróżowałam w prawie każdy weekend. Kiedyś pojechałam do Nashville, innym razem do Louisville.
- Sama?
- Zwykle tak. Czasami któraś koleżanka jechała ze mną. Ale one wołały raczej zostawać w mieście ze swoimi chłopcami.
- Ale ty nie.
- Nazbyt ceniłam sobie swobodę.
- Dlaczego cię nie pamiętam? Przypominam sobie Buddy'ego, ale nie przypuszczałem, że ma siostrę.

- Wcale mnie to nie dziwi. Jestem młodsza od niego o pięć lat. Zaczęłam chodzić do szkoły, kiedy wy już prawie ją kończyliście. Mało kto mnie zauważał.

- Aż trudno uwierzyć. - Dan zaczynał mieć trudności z utrzymaniem miarowego oddechu. Shannon tak się wierciła, że w końcu leżeli twarzą w twarz. Czuł wyraźnie dotyk jej piersi, ciepło jej oddechu na szyi, delikatny zapach. Wszystko razem drażniło jego zmysły.

Ale czy mógł przypuszczać, że będzie leżał przy niej całkiem obojętnie? Musiałby być kompletnym głupcem. Cóż jednak miał robić dalej? Zażądać, by wyniosła się na swoją połowę łóżka? Jacht kołysał się tak mocno, że na pewno oboje wylądowaliby na podłodze.

Wybuchnął śmiechem.

- Co cię tak śmieszy?

- Spróbowałem wyobrazić sobie parę kochanków usiłujących dokonać czegokolwiek przy takiej pogodzie.

Shannon zeszywniała. Po chwili odprężyła się i kiwnęła głową.

- Więc mogę czuć się zupełnie bezpieczna.

- Miałaś wątpliwości?

- No... nie. Niezupełnie. Jeszcze nigdy nie byłam w takiej sytuacji.

- Na morzu podczas sztormu?

- To też. Ja... hm... jeszcze nigdy nie byłam w łóżku z mężczyzną.

Czynił wielkie starania, by się nie poruszać. Starał się jedynie nie spaść z łóżka.

- Możesz być spokojna. Nawet gdybym miał wobec ciebie jakieś plany, w tych warunkach i tak nic ci nie grozi.

- Przy tobie i tak nie mam powodów do obaw.

- O? A to dlaczego?

Uniosła głowę.

- Poczujesz się dotknięty? - spytała z niedowierzaniem.
- Jeśli chcesz wiedzieć, żaden mężczyzna nie lubi być oceniany w taki sposób.
- Żartujesz sobie, prawda?
- Ani trochę.
- Wydawało mi się, że bardzo zależało ci na samotności i moje towarzystwo było ci zupełnie nie na rękę.
- Nie chodziło o ciebie osobiście. Miałem do przemyślenia wiele spraw i chciałem spokoju.
- Jakich spraw?
- Co dalej robić w życiu.
- Prowadzić firmę, oczywiście.
- Niekoniecznie. Myślę o jej sprzedaniu.
- Świetnie. A co zrobisz potem?
- Jedno wiem na pewno. Nigdy nie wybiorę się w rejs dookoła świata.

Shannon wtuliła twarz w jego ramię.

- Czy ty nigdy niczego nie traktujesz poważnie? - spytała po chwili.
- To jest dobre pytanie. Obawiam się, że ostatnio samego siebie traktowałem nieco zbyt poważnie. Może to niezły pomysł, żebyś została moją gosposią?
- Mimo wszystko dziękuję. Widzisz? To wcale nie było takie trudne, prawda? Przyznanie, że mogłabym zrobić coś pożytecznego.
- Teraz ja zrobię coś pożytecznego.

Delikatnie musnął wargami jej usta. Choć ich sytuacja była nie do pozazdroszczenia, poczuł się wspaniale.

Dzięki niej. Irytującej, czarującej i pełnej pokus.

Zareagowała tak ostrożnie i nieśmiało, że poczuł wyrzuty sumienia. Opuszkami palców musnęła jego pierś. Jakby dotknę-

ły go skrzydła motyla. Poczuł pod wargami porywająco gładką skórę na jej policzku. Lecz ona odszukała jego usta.

Danowi wystarczyła milcząca zachęta. Dotknął koniuszkiem języka jej dolnej wargi. Delikatnie chwycił ją zębami. Potem wsunął język głębiej.

Westchnęła i upредиła jego zamiary.

Z wysiłkiem oderwał się od niej.

- To zaczyna być niebezpieczne - szepnął. - Nie powinienem być tego robić. Ale skłamałbym, gdybym powiedział, że żałuję.

Ciepłota jej oddechu na szyi przyprawiało go o dreszcze.

- Zawsze możemy udawać, że pieścimy się na tylnym siedzeniu samochodu rodziców - szepnęła.

Czyż trzeba wyraźniejszej zachęty? A tu jeszcze Shannon delikatnie pogłaskała go po ramieniu i plecach. Zadrżał.

- Nie masz na sobie zbyt wiele, prawda? - powiedziała z rozbawieniem.

- Ano nie. Gospodarz pożyczył mi trochę ubrań, ale piżamy nie dostarczył.

- Powinieneś być zobaczyć, co ja znalazłam. Całkiem przyczyste koszulki nocne z satyny i koronek. Możesz sobie wyobrazić, ile lat ma ta jego rzekoma córka.

- Proszę, przestań. Nie rozpalaj mojej wyobraźni.

Jej dłoń nie próżnowała. Dotarła do gumki, wsunęła się w głąb i zdobyła świadectwo jego odczuć.

- Rety! A cóż to?! - szepnęła.

- Doskonale wiesz, co to jest! Nawet jeżeli nigdy przedtem nie byłaś w łóżku z mężczyzną!

Nie ustając w wędrówce, pogładziła go po udzie.

- Shannon - warknął ostrzegawczo - przeciągniesz strunę. Uważaj!

Roześmiała się.

- Nawet nie wiesz, jak bezpieczna czuję się w tej chwili.
- Pocałowała go. Mocno, głęboko i namiętnie.

Dan ostatkiem sił usiadł i pozwolił, by gwałtowny przechył jachtu wyrzucił go z łóżka aż na drugi koniec kabiny. Jaskrawa błyskawica zgasła, jeszcze pogłębiając panujące ciemności.

- Dan?

Nie widział Shannon. Słyszał jednak obawę w jej głosie.

- Nie mogę tego zrobić. Nie jestem młokosem, który nie umie zapanować nad sobą. Okłamałaś mnie, kiedy powiedziałaś, że nigdy się nie kochałaś, czy to była prawda?

Cisza, która zapanowała, była pełna napięcia.

- Ja... Powiedziałam prawdę.
- A poza tym nie mam przy sobie żadnego zabezpieczenia. Nie mogę zaprzeczyć, że bardzo chciałbym się z tobą kochać. Ale sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, nie sprzyja miłości. Nigdy nie interesowały mnie przypadkowe numerki. A to, co w tej chwili czuję, jest bardzo dalekie od przypadkowości.

Umilkli. Mrok w kabinie był tak gęsty, że Dan nawet nie mógł dostrzec, czy Shannon siedziała, czy leżała.

Kolejny przechył rozpląszczył go na ścianie. Uświadomił sobie nagle komizm sytuacji. Oto on, drżący jak osika, czepia się ściany, podczas gdy ona czeka, by wrócić do łóżka.

Jakby czytając w jego myślach, Shannon spytała:

- Myślisz, że próbuję cię uwieść?
- Wcale nie musisz próbować, kochanie. Możesz mi wierzyć. Jesteś chodzącą, mówiącą i oddychającą ogromną pokusą dla każdego mężczyzny.

Nie powiedziała ani słowa.

Bardzo pragnął zobaczyć jej twarz, poznać myśli. Czuł się jak ostatni głupiec. I nie przychodził mu do głowy żaden pomysł na rozładowanie napiętej atmosfery.

Shannon kłęczała na środku łóżka. Szczęśliwa, że wokół było tak ciemno. Po raz pierwszy w życiu zrozumiała te wszystkie zachwyty nad seksem.

Jeszcze nigdy nie była tak podniecona. Marzyła tylko o tym, by przyłgnąć do Dana i pieścić każdy skrawek jego rozkosznego ciała.

Wielki Boże! Czyżby kompletnie postradała zmysły?

Odżyły wszystkie jej młodzieńcze pragnienia i fantazje, w których każdy wymarzony mężczyzna miał twarz Dana. Znalazła się w wielkich tarapatach.

Sęk w tym, że nigdy naprawdę nie pożądała mężczyzny. Ze zdumieniem odkryła, jak śmiałe miała dłonie i jak namiętnie potrafiła całować. Kiedy Dan pocałował ją pierwszy raz, uznała, że jej gwałtowna reakcja była skutkiem zdenerwowania. Ostatecznie nigdy przedtem nie zaczęła mężczyzn w barze, by pojechać z nimi do ich domu.

Co miała zrobić?

Była rada, że powiedziała Danowi, iż jeszcze nigdy nie miała mężczyzny. Chciała, żeby wiedział, iż nie puszczała się na prawo i lewo.

- Czuję, że winna ci jestem przeprosiny - westchnęła.

- Przeprosiny?! Za co?

Zastanawiała się przez chwilę.

- Gdybym miała więcej doświadczenia, szybciej zorientowałabym się, co tu się działo i jak się czuć. Wiem tylko, co działo się ze mną. - Znów poczuła to podniecające mrowienie w całym ciele. Sama już nie wiedziała, czy chciało się jej śmiać, czy płakać.

- To wszystko moja wina - powiedział Dan. - Nie powinienem był mówić, że jesteśmy zaręczeni. To był głupi pomysł. Gdybym chwilę pomyślał, nie znaleźlibyśmy się w takiej sytuacji. Ale jest już za późno. Dopóki przetrzymują nas na tym statku, musimy udawać zakochanych.

- Zgoda.
- A to oznacza, że musimy spać razem w tym piekielnym łóżku.

Shannon milczała. W końcu powtórzyła:

- Zgoda.
- Musiałem kompletnie stracić rozum, kiedy myślałem, że będę mógł leżeć przy tobie bez żadnej reakcji.

- Mnie to też poruszyło.

Jęknął tylko.

- Tego mi tylko brakowało! Ale dziękuję za szczerość.
- Chyba niepotrzebnie robisz z tego problem, Dan. Przecież to całkiem normalne, że dwoje dorosłych ludzi, którzy coś do siebie czują, ma ochotę się kochać.

- Wmówiłem sobie chyba, że potrafię panować nad najbardziej podstawowymi instynktami i postępować jak człowiek cywilizowany. Aż do tej pory.

Cichym, miękkim głosem Shannon powiedziała:

- Potrafisz, Dan. Właśnie dlatego jesteś teraz tam, gdzie jesteś. Tak daleko ode mnie.

Usłyszała z najodleglejszego kąta, jak Dan gwałtownie wciągnął powietrze.

- Tylko tak wielka odległość powstrzymuje mnie, panno Doyle, przed kochaniem się z panią.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy rano Shannon obudziła się, była sama.

Po dyskusji poprzedniego wieczoru Dan ubrał się i wyszedł. Jeśli nawet wrócił w środku nocy, ona tego nie usłyszała.

Nie miała pojęcia, która jest godzina. Niebo było zasnute gęstymi, burymi chmurami. Równie dobrze mógł to być poranek, jak i wieczór. Słońca i tak nie było widać.

Zajrzała do szafy. Ucieszyła się, gdy znalazła tam spodnie i bluzki z długimi rękawami. Wcale nie zdziwiłaby się, gdyby natrafiła również na sukienki koktajlowe.

Ubrania były na nią o wiele za duże, ale nie przejęła się tym. Wybrała spodnie z paskiem. A rękawy podwinęła.

Kiedy była już gotowa, wyruszyła na poszukiwanie jakiegoś śniadania.

Jadalnia była pusta, poszła więc za dźwiękiem niewyraźnych głosów. Guardino i Dan stali przy oknie, rozmawiali i popijali kawę z wielkich kubków.

Dostrzegła na barze dzbanek z kawą i ruszyła ku niemu. Miała nadzieję, że zostawili trochę dla niej.

- Dzień dobry, panno Doyle - powiedział Guardino. - Mam nadzieję, że spała pani dobrze?

Rzuciła okiem na Dana. Był nie ogolony, nie uczesany, a jego ubranie było kompletnie wymięte.

Wyglądał jak wtedy, na wyspie.

- Dość dobrze - odparła. I wcale nie skłamała. Po wyjściu Dana długo nie mogła usnąć. W końcu jednak zasnęła jak kamień.

Znów odszukała wzrokiem Dana. On jednak wyraźnie unikał jej spojrzenia.

Nalała sobie kawy.

- Rozmawiałem z kapitanem - powiedział Guardino. - Sztorm zaczyna cichnąć. Z komunikatów radiowych wynika, że powoli odsuwa się na północ.

- To pocieszające - odparła. Wzięła swoją kawę i usiadła na kanapie.

- Wie pan - odezwał się Dan - pomyślałem sobie, że wcale nie musi pan zabierać nas aż do Nowego Orleanu. Może pan przecież wysadzić nas w Galveston. Nie nadłoży pan wiele drogi. Pański jacht nie musi wchodzić do portu ani nawet bardzo zbliżać się do brzegu. Wystarczy motorówka i jeden marynarz.

- Mógłbym właściwie pomyśleć, że nie odpowiada wam moja gościna - powiedział Guardino.

Dan podszedł do kanapy i usiadł. Daleko od Shannon.

- Jak pan doskonale wie, nie mieliśmy żadnego wyboru - powiedział. - Dodać muszę, że nasze rodziny zaczną się niepokoić, gdy znikniemy na dłużej.

- Macie zamiar opowiedzieć im, gdzie byliście?

- Zważywszy na fakt, że nie minęła nawet doba od naszego zniknięcia, nie będzie takiej potrzeby.

- W jaki sposób zamierzacie dostać się do domu z Galveston?

Dan uśmiechnął się.

- Da nam pan pieniądze na wynajęcie samochodu. Nie ma najmniejszego powodu, by przedłużać tę zabawę.

- Porozmawiam z kapitanem. Zorientuję się, kiedy możemy

dotrzeć do Galveston. Sądzę, że znajdziemy rozwiązanie satysfakcjonujące wszystkich.

Guardino podszedł do telefonu. Po krótkiej rozmowie spytał:

- Są państwo gotowi na śniadanie?

Dan siedział w milczeniu. Shannon wstała.

- Świetny pomysł! - powiedziała.

Przez cały posiłek nie odezwali się ani słowem. Dopiero gdy uprzątnięto ze stołu, Guardino powiedział:

- Zauważyłem, że nie nosi pani pierścionka zaręczynowego. Dlaczego?

Och, Boże! Nie pomyślała o takich szczegółach. Nie był to najszczęśliwszy moment, by gospodarz nabrał podejrzeń, że go okłamywali. Nic jednak nie przychodziło jej do głowy.

I znów Dan uratował sytuację.

- Podarowałem jej pierścionek zaręczynowy mojej matki. Ale trzeba było oddać go do poszerzenia. Odbierzemy go od jubilera po powrocie do Austin.

- Rozumiem. Kiedy ma to nastąpić?

- No, cóż. Muszę jeszcze załatwić to i owo na wyspie.

- Czy ustaliliście już datę ślubu?

Dan popatrzył na Shannon, jakby oczekiwał, że tym razem ona podejmie konwersację.

- My... wciąż dyskutujemy na ten temat. Trudno coś postanowić bez uzgodnienia z rodzinami i przyjaciółmi.

- Ale ślub nastąpi niedługo, nieprawdaż? - spytał Guardino.

- Niedługo? - powtórzyła.

- Zupełnie nie aprobuję tych współczesnych obyczajów. Życia bez ślubu i takich rzeczy. Kiedy prowadziłem moją córkę do ołtarza, miałem pewność, że jest dziewicą. Zżywała się na mnie za nadmierną kontrolę tego, co robiła, ale na koniec podziękowała mi. - Uśmiechnął się. - Na wiosnę ona i zięć spodziewają

się pierwszego dziecka. Jeśli chodzi o szczegóły, to latem na tym właśnie jachcie spędzili miodowy miesiąc.

A więc to naprawdę były ubrania jego córki! pomyślała zdumiona Shannon.

Zadzwonił telefon. Guardino podniósł słuchawkę. Po chwili rozłączył się, uśmiechnął i powiedział:

- Wygląda na to, że szczęście wam sprzyja. Kapitan powiedział, że do Galveston możemy dotrzeć za kilka godzin. - Popatrzył na Dana. - Nie umiem nawet wyrazić, jak wielkie wrażenie zrobiłeś na mnie, Dan. Mam nadzieję, że mogę zwracać się do ciebie w ten sposób? Czuję, że dobrze cię poznałem. - Spojrzał na Shannon. - Jesteś może trochę porywczy, ale rozumiem twój strach, że mógłbyś stracić swoją dziewczynę. Zwłaszcza po tym, co przeszliście.

Shannon wysoko uniosła brwi.

- Rozstania niczego nie rozwiązują - wyjaśnił Guardino. - Mam nadzieję, że nauczyliście się tego, że zawsze trzeba się zmierzyć z problemami. A nie uciekać przed nimi.

- Tak, tak, to prawda - odparła Shannon.

- Nie powinnaś była w ogóle zadawać się z Rickiem Taylorem. Jego zwyczaje i metody pracy stają się coraz gorsze.

- O, tak! Inaczej przecież nie szukałby go pan teraz.

- Znajdę go. Tak czy inaczej, potrzebowałem krótkiego wypoczynku, więc ta podróż nie jest czasem zmarnowanym. Wierzę, że wybaczycie mi, iż przerwałem wam wspólne chwile.

Shannon kiwnęła głową, nie wiedząc, co powiedzieć. Dan przyglądał się im z dziwnym wyrazem twarzy.

- Proszę mi wybaczyć - odezwała się Shannon - ale wciąż zastanawiam się, co włożymy na siebie, kiedy już dotrzemy do Galveston?

Guardino niecierpliwie machnął ręką.

- Ależ proszę się nie martwić. Moja córka nie przywiązuje

się do ubrań. Proszę sobie coś wybrać, bez skrepowania. Ty również - zwrócił się do Dana. - Chociaż tyle mogę zrobić. Och! Byłbym zapomniał. - Sięgnął do kieszeni i wyjął portfel. - To powinno umożliwić wam powrót na wyspę.

Podał Danowi pieniądze. Shannon starała się nie patrzeć. W dużym pliku banknotów były nawet setki.

- Dziękuję - powiedział Dan.

Guardino podał mu jeszcze małą karteczkę.

- Idźcie do tej wypożyczalni. Wiem, że nie macie przy sobie żadnych dokumentów, ale tam na pewno dostaniecie auto. Kazałem też, by zanesiono do waszej kabiny przybory do golenia.

- Raz jeszcze dziękuję. - Dan z uśmiechem potarł brodę.

- Dobrze. A teraz, jeśli zechcecie mi wybaczyć, mam jeszcze mnóstwo pracy. Gdybyśmy mieli nie zobaczyć się więcej, życzę wam przyjemnej podróży.

Dan i Shannon wrócili do kabiny.

- Co myślisz o tym wszystkim? - spytała.

- Musiał coś z nami zrobić. Widać uznał, że nie przysporzymy mu kłopotów. I miał rację.

- Dlaczego dał nam tak dużo pieniędzy?

- Kto to może wiedzieć? Dla niego to chyba niezbyt dużo.

Jak podobał ci się wykład o obowiązkach małżeńskich?

- No cóż, zgadzam się nim. Co prawda nigdy nie myślałam poważnie o zamałpojsciu, ale sądzę, że ryzyko jest zbyt wielkie, by je lekceważyć.

- Miło to słyszeć. Odniosłem wrażenie, że sprawiłem ci zawód ostatniej nocy.

Shannon oblała się rumieńcem.

- Ani trochę - bąknęła cicho.

- Gdybyśmy mieli jakieś zabezpieczenie, to kto wie, czy postąpiłbym tak godnie? Bez względu na twoją niewinność.

Uśmiechnęła się.

- Cieszę się, że choć jedno z nas zachowało zdrowy rozsądek. Teraz mogę ci powiedzieć, że wtedy nie panowałam nad sobą.

- Naprawdę? Nigdy bym nie przypuszczał. - Potarł brodę.
- W odróżnieniu od Guardina, ty sprawiasz, że zaczynam czuć się ludzką istotą.

- Nigdy nie kazałam ci się ogolić.

- Może nie w słowach. Ale twoje oczy mówią wiele.

- Naprawdę?

- Choćby teraz. - Podszedł do niej.

- Tak? A co takiego?

Uśmiechnął się, objął ją i przytulił.

- Że naprawdę doceniasz moją powściągliwość i opanowanie. Pocałował ją. Namiętnie i gorąco. Jakby oddawał jej wszystkie niespełnienia z minionej nocy.

Ostatnie, co przyszło Shannon do głowy, to myśl, że musi bardziej uważać, co mówią mu jej oczy. Okazało się bowiem, że nie potrafią strzec tajemnicy.

Dochodziła już pierwsza, gdy motorówka przycumowała przy nabrzeżu w Galveston. Deszcz wciąż padał. Odkąd się pożegnali, nie widzieli już Guardina. Ale pomimo to nie zapomnieli, żeby kazać dać im na drogę nieprzemakalne kurtki z kapturami.

Nareszcie na stałym lądzie! pomyślał Dan z ulgą. Rozglądał się po pustej ulicy. Nikt nie jechał. Popatrzył na Shannon. Spod wielkiego kaptura wystawał jej tylko czubek nosa.

- Wszystko w porządku? - spytał, zasłaniając ją sobą od wiatru.

- Bywało lepiej - odparła. - I co teraz zrobimy?

- Poszukamy taksówki. Nie mam drobnych na telefon. Powinniśmy chyba poszukać banku. Albo takiego miejsca, gdzie moglibyśmy rozmiąć jeden z tych banknotów.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że nas wypuścili.

Dan roześmiał się.

- Chyba obejrzelismy zbyt wiele filmów o podobnych ludziach. Przecież i Guardino ma jakieś zasady. A trudno go winić, że chce odebrać Rickowi swoje pieniądze.

- Wyobrażasz sobie, ile musiał się natrudzić, żeby mnie odnaleźć? Zadzwoić do mojej rodziny, potem śledzić mnie nawet na plaży. To przerażające!

- Zjedzmy coś - powiedział Dan, gdy dostrzegli restaurację.

- Jestem pewien, że chętnie przyjmą nasze pieniądze.

- Wyglądamy jak para przemoczonych włóczęgów - mruknęła.

Szła z trudem. Trampki, które miała na nogach, były o kilka numerów za duże. Ale lepsze to niż wędrować boso.

Zdjęli kurtki i usiedli przy stoliku w kącie sali. Kelnerka przyniosła kawę. Zamówili kanapki. W milczeniu popijali aromatyczny napój.

- Wiesz, Shannon - odezwał się w końcu Dan - skoro już musiałem zostać uprowadzony, cieszę się, że przeżyłem to razem z tobą. Choć byłaś wystraszona, wspaniale dałaś sobie radę.

- Komplementy? Od ciebie? To nieprawdopodobne. - Zamknęła w dłoniach gorący kubek.

- Nie bierz tego zbyt poważnie - odparł i uśmiechnął się.

- Chciałem tylko powiedzieć, że różnie mogło być. Ale już jesteśmy bezpieczni.

- Wiele godzin drogi od naszych samochodów.

- Nie można mieć wszystkiego.

Kelnerka przyniosła kanapki. Znow zapadło milczenie. Shannon skończyła jeść, rozsiadła się wygodnie i westchnęła z ulgą.

- Marzę o tym, by zdjąć wreszcie te mokre dżinsy - powiedziała - ale cieszę się, że nie muszę podróżować w kostiumie kąpielowym.

- Ale wtedy budziłabyś dużo większe zainteresowanie.
- Widzę, że doskonale się bawisz. Nie przypuszczałam, sądząc po twoim wczorajszym nastroju, że potrafisz być taki miły.
- Nic tak nie pobudza do myślenia jak świadomość, że możesz nie wyjść z życiem z rąk porywaczy.
- Chcesz powiedzieć, że o tym myślałeś przez cały ten czas?
- Taaak. Zrobiłem rachunek sumienia i zrozumiałem, jak wielu ludziom winien jestem wdzięczność, której nie okazywałem im w ciągu kilku ostatnich miesięcy. - Wziął ją za rękę. - Chciałbym cię lepiej poznać. Mam nadzieję, że gdy już znajdziemy się w Austin, będziemy mogli spędzić razem trochę czasu.
- Chciałabym tego, bardzo - odpowiedziała z uśmiechem.
- Ja też. - Spojrzał na zegar wiszący na ścianie. - Przed nami siedem godzin jazdy. Znosi się na to, że wciąż będzie lało. Chyba pora już ruszać.

Płacąc rachunek, Dan poprosił kelnerkę, by wezwała im taksówkę. Kazali zawieźć się pod adres wskazany przez Gardina.

Kiedy byli już w drodze, Shannon zwinęła się na fotelu i usnęła. Dan cichutko nastawił radio. Musiał przemyśleć wiele spraw.

Może by tak rano zadzwonić do Rafe'a, dowiedzieć się, co słychać w firmie? Gdyby nie działo się nic dramatycznego, chciałby zostać na wyspie jeszcze kilka dni. Liczył na to, że i Shannon zechce z nim zostać. Przecież sama zaoferowała, że może być jego gosposią.

Po cichu liczył też na to, że zostałyby kimś więcej.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Do mieszkania Dana dotarli już po północy.

- Aż trudno uwierzyć, że nie było nas tutaj niewiele ponad dobę. - Shannon stanęła pośrodku salonu. - Tyle wydarzyło się przez ten czas!

Dan, jak zwykle, skierował się do baru. Ale ze zdumieniem stwierdził, że nie ma ochoty na alkohol.

Był zmęczony długą drogą i marzył tylko o spaniu.

Podszedł do Shannon.

- Mamy za sobą ciężkie chwile - powiedział. - Prześpijmy się. A jutro chciałbym porozmawiać z tobą. Żebyś została u mnie na kilka dni. - Wycelował w nią palec. - Zaczniemy jeszcze raz, od nowa. Obiecuję nie wściekać się, gdy obudzisz mnie wcześniej.

Przyglądała się mu z przechyloną na bok głową.

- Jak na faceta, który oberwał po głowie i przeżył sztorm na pełnym morzu, nie wyglądasz tak źle.

- Szczerze mówiąc, ty także nie wyglądasz najgorzej w tym stroju. Choć właściwie zastanawiam się, czy przypadkiem nie polubiłaś tego rozmiaru butów.

Roześmiała się.

- Masz rację. - Cofnęła się o krok, poruszona rodzącym się między nimi podniecającym napięciem. - A więc do zobaczenia rano. Choć tym razem chyba nie o wschodzie słońca. Obojgu nam należy się wypoczynek.

Rozeszli się do swoich sypialni. Minioną noc Dan spędził,

drzemiąc na kanapie w salonie jachtu. Nie ufał samemu sobie na tyle mocno, by spędzić noc w jednym łóżku z Shannon i nie kochać się z nią.

Na chwilę zastygł w bezruchu. Uświadomił sobie, iż tak naprawdę chciał czegoś więcej, niż tylko przespać się z nią. Pragnął z nią być. Patrzyć na nią w kuchni. Słuchać jej śmiechu. I tulić ją w nocy.

Położył się do łóżka i z rękami pod głową gapił się w sufit. Myślał o wszystkim, co się wydarzyło.

Gdyby nie był tego pewien, pomyślałby, że się zakochał.

Ale to oczywiście było niemożliwe.

Całe jego życie było zrujnowane. Nie miał czasu nawet na krótkotrwałe związki, a przecież czuł, że jego uczucie do Shannon jest inne.

Był zbyt zmęczony, by teraz próbować rozwikłać kwestię ich związku. Zamknął oczy i zwinął się w kłębek. Uśmiechnął się na myśl, że to ona będzie pierwszą osobą, którą zobaczy następnego ranka.

Z głębokiego snu wyrwało go dochodzące z oddali gwałtowne łomotanie. Usiadł, usiłując pozbierać myśli. Spojrzał na zegar. Dochodziła szósta rano.

Co się dzieje? pomyślał. Jeszcze jest ciemno.

Łomotanie nie ustawało. Po chwili pojął, że dolatywało od drzwi jego mieszkania. Pewnie pożar! pomyślał. Zerwał się na równe nogi, błyskawicznie wciągnął dzinsy, pobiegł otworzyć i... zamarł, zdumiony.

U drzwi stał wielki, potężnie zbudowany nieznajomy.

- Gdzie ona jest? - rzucił z wściekłością.

- Co? - Dan odgarnął włosy z czoła i podciągnął do końca suwak u spodni. Bezskutecznie usiłował zrozumieć, co się dzieje.

- Chcesz mi wmówić, że tu jej nie ma? - Wojowniczy nieznamy kogoś Danowi przypominał.

Dan zdecydowanie nie lubił takich przebudzeń. Wbił ręce w kieszenie i zapytał:

- O czym ty mówisz? Kim ty, u diabła, jesteś?

I w tym momencie przypomniał sobie, kim jest ten intruz. To Buddy Doyle, brat Shannon. Jej bardzo rozgniewany brat. I nie wiadomo czemu, zdawał się wściekły właśnie na Dana.

Buddy otworzył już usta, by coś powiedzieć, gdy spojrzał ponad ramieniem Dana.

- Buddy, co ty tu robisz?! - krzyknęła zdumiona Shannon.

Dan właśnie ponownie odwracał głowę ku Buddy'emu, gdy potężny cios w szczękę rzucił go do tyłu. Z donośnym łoskotem wylądował na środku salonu.

Buddy wpadł do środka i z hukiem zatrzęsął drzwiami.

- Myślałeś, Crenshaw, że skoro jesteś tak cholernie ważny, to możesz wszystkich lekceważyć? - Głos Buddy'ego mieszał się Danowi z uporczywym dudnieniem w uszach. - Ale tym razem nie ujdzie ci na sucho.

- Buddy! - wrzasnęła przeraźliwie Shannon. Przypadła do Dana i uklękła. - Co ci się stało?! - krzyczała do brata. - Zwarłowałeś?! - Półprzytomny Dan zauważył jednak, że miała na sobie cudowną, kusą koszulkę nocną.

- Ani trochę, Shannon - odparł Buddy głucho. - Chcę wiedzieć, co się stało, że straciłaś poczucie przyzwoitości?

Dan ostrożnie obmacał sobie szczękę. Na szczęście nie była złamana. Shannon poklepała go pocieszająco. Odsunął jej rękę i powiedział:

- Mylisz się, Buddy. - Nie zabrzmiało to zbyt wyraźnie. Ból był jednak dokuczliwy.

- Czyżby? - rzucił ironicznie Buddy. - Spójrz mi w oczy i przysięgnij, że nie spałeś z nią.

Dan zacisnął powieki. Trąć czoło, usiłował znaleźć jakąś dobrą odpowiedź.

Shannon poderwała się na równe nogi.

- Nic ci do tego, Buddy - zawołała. - Mam już prawie trzydzieści lat, na Boga. Nie potrzebuję niańki!

- Jeśli ten sukinsyn spał z tobą, będziesz potrzebowała nie tylko niańki. Bo bardzo szybko zostaniesz panną młodą.

Zdumiona popatrzyła na Dana, który siedząc na podłodze, przysłuchiwał się im uważnie. Nie potrzebował więcej dowodów legendarnej siły Buddy'ego.

A Buddy nie spuszczał z niego wzroku.

- Powiedz mi tylko, że nie spałeś z nią, a natychmiast cię przeproszę za to całe nieporozumienie. - rozejrzał się wkoło - ...i zabiorę ją do domu.

- No, cóż - zaczął Dan. Zastanawiał się, jak wyjaśnić różnicę między dzieleniem z dziewczyną wspólnego łóżka a spaniem z nią. Lecz nie było mu to dane.

- Spałeś z nią czy nie? - ponaglił Buddy.

- Owszem, spaliśmy w jednym łóżku. - Starał się, by zabrzmiało to poważnie i rzeczowo. - Ale my nie...

- Daruj sobie techniczne szczegóły. Dla mnie ważne jest tylko, że byliście razem w łóżku. Sam to powiedziałaś. Dziękuję. Pakuj się. Wyjeżdżamy - zwrócił się do Shannon. - Trzeba przygotować wesele.

- Buddy! - wrzasnęła. - Nie będziesz mi dyktował, jak mam żyć. Słyszysz?!

- Ależ ja ci niczego nie dyktuję.

- Miło to słyszeć - zdobyła się na sarkazm.

- Wypełniam tylko polecenie babci - powiedział Buddy, krzywiąc się.

- Babci? - jęknęła głucho Shannon.

- Tak.

- Ona cię tu przysłała?

- Właśnie. - Skrzyżował potężne ramiona. Uśmiechnął się. Nagle wpadł w dobry humor.

- O Jezu! - jęknęła Shannon i odwróciła się.

Widząc, że Buddy nieco się uspokoił, Dan wstał. Nie bardzo wiedział, co dokuczało mu bardziej - szczeka czy tyłek.

- Zapnij te cholerne dzinsy - warknął Buddy.

Swoją drogą, pomyślał Dan, z punktu widzenia Buddy'ego wszystko musiało być oczywiste. Oto on, Dan, stał w nie dopiętych spodniach, a Shannon miała na sobie tylko kusą koszulkę. Zapiaął guzik i przygładził włosy.

- Mam ochotę na kawę. Poczestować cię? - rzucił przez ramię do Buddy'ego i poszedł do kuchni.

- Tak, pewnie! Jeśli zostało choć trochę.

Wolnym krokiem Buddy ruszył za Danem. Rozglądał się uważnie, jak niedźwiedź grizzly oglądający nowe terytorium.

- Włóż coś na siebie - mruknął Dan, przechodząc obok Shannon.

W pierwszej chwili chciała zaprotestować. Spojrzała jednak na brata i zmieniła zdanie. Wyszła bez słowa.

Dan w milczeniu przygotował kawę.

- Ładnie tu - powiedział Buddy po chwili.

- Dzięki.

- Chyba nie masz żalu, co? - zapytał Buddy. - Teraz, kiedy mamy zostać krewnymi, nie możemy przecież być wrogami.

Dan znów pomasaował obolałą szczękę. Z ostatnim stwierdzeniem godził się bez zastrzeżeń. Za nic nie chciałby znaleźć się na liście nieprzyjaciół Buddy'ego.

Wlał kawę do wielkich kubków, które zaniósł do salonu. Podał jeden Buddy'emu i bardzo ostrożnie usiadł w fotelu. Gestem głowy wskazał Doyle'owi kanapę.

- Dzięki - bąknął Buddy, nieco zakłopotany.

Dan wpatrywał się w wielkie okno. Wstające słońce zaczęło właśnie malować niebo na różowo. Nie zaszczycił spojrzeniem nieproszonego gościa. Kiedy obłoki nad horyzontem zajaśniały, Buddy powiedział cicho:

- Rany! Co za widok!

Dan nie zareagował. Dopił kawę i zastanawiał się, czy wypić następną, gdy usłyszał głos skruszonego Buddy'ego:

- Rozumiesz, ona jest moją siostrą.

Cóż można było na to odpowiedzieć?

- Nie mogłem znieść myśli, że wykorzystujesz jej słabość do ciebie.

Dan pomału odwrócił głowę.

- O czym ty mówisz? - spytał.

- Oj, daj spokój. Przecież musiałeś wiedzieć o tym od dawna. Shannon chodziła na wszystkie treningi drużyny futbolowej. I na wszystkie mecze. Tylko po to, żeby oglądać ciebie. Zbierała twoje zdjęcia. Jej pokój był ich pełen. Kiedy wyjechałeś do szkoły na Wschód, omal jej serce nie pękło.

- Czy aby na pewno mówisz o Shannon? - spytał Dan łagodnie.

- Oczywiście, że mówię o Shannon! A o kim, u diabła, miałbym mówić?!

Dan długo gapił się na niego bez słowa.

- A ja wtedy nawet nie znałem twojej siostry - powiedział w końcu.

Buddy milczał.

Patrzyli na słońce wstające nad horyzontem.

- Nie wiedziałeś, że szalała za tobą? - spytał Buddy.

- Nic a nic!

- To jej nie mów, że ci o tym powiedziałem, dobrze? - poprosił Buddy po długiej pauzie.

Dan nie miał zamiaru mówić jej o tym. Choć jej reakcja byłaby interesująca. Ale, u diabła, minęło już dwadzieścia lat! Shannon była wtedy dzieckiem. Na pewno już dawno otrząsnęła się z tamtego młodzieńczego zauroczenia.

Nigdy nie spała z mężczyzną, przypominał sobie. To musiało o czymś świadczyć. A tamtej nocy, na jachcie, był pewien, że Shannon gotowa była oddać mu dziewictwo.

Ciekawe dlaczego? pomyślał.

Po tym, co usłyszał od Buddy'ego, wiele spraw musiał prze-myśleć od nowa.

- Wiesz - powiedział w pewnym momencie Dan - myślę, że chciałbym poznać waszą babcię.

- To się da załatwić - odparł Buddy.

- Chcesz jeszcze kawy, Buddy? - Ze wschodem słońca nastrój Dana poprawił się wyraźnie. Po raz pierwszy tego ranka się uśmiechnął. Przeciągnął się i wstał. - Myślę, że zdołamy uprosić Shannon, by zrobiła nam śniadanie.

Buddy popatrzył nań zdumiony. Wstał także.

Dan poszedł do kuchni i zakrzętała się przy kawie.

- Posiedź sobie - rzucił do Buddy'ego - a ja pójdę sprawdzić, co zatrzymało Shannon.

Zastukał do jej sypialni.

- Proszę - usłyszał po bardzo długiej chwili.

Wszedł i zamknął za sobą drzwi. Shannon siedziała na łóżku, Nie spojrzała na niego. Nie odrywała oczu od złożonych na kolanach rąk. Była kompletnie ubrana - w jaskrawą sukienkę, której dotąd nie widział - i starannie uczesana.

- Shannon?

Z ociąganiem podniosła głowę. Na widok siniaka na jego szczęce skrzywiła się. Potem znowu opuściła oczy.

- Wygląda na to, że niszczyć wszystko wokół siebie - powiedziała.

Dostrzegł w jej oczach łzy.

- Jeśli cokolwiek ucierpiało - powiedział z uśmiechem - to tylko moja duma. Ale to szybko da się wyleczyć.

- Nie mieści mi się w głowie, że Buddy mógł zachować się w taki sposób. Im szybciej zniknę z twojego życia, tym lepiej - dodała.

Dan oparł się o drzwi i skrzyżował ramiona.

- Biorąc pod uwagę okoliczności, będzie to raczej trudne - powiedział.

- Jakie okoliczności? - poderwała głowę.

- Jak to, kochanie? - wycedził. - Takie, że ty i ja już bardzo niedługo staniemy na ślubnym kobiercu. Jeśli planujesz oficjalną uroczystość, to postaraj się, żeby twój brat zabrał swoją strzelbę.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Nie bądź śmieszny! - krzyknęła. Poderwała się z łóżka jak oparzona.

- Tak, tak! Ja też inaczej to sobie wyobrażałem - wzruszył ramionami. - Jednak w tej sytuacji chyba będzie lepiej, jeśli jeszcze dziś pojedziesz do domu. Na pewno jest jeszcze wiele spraw, które musicie przedyskutować w gronie rodzinnym. - Otworzył drzwi. - A tak przy okazji, czy zechciałabyś przed wyjazdem zrobić nam śniadanie, złotko?

Zamknął drzwi, nim rzucony przez nią but zdołał spotkać się z jego głową. Usłyszał tylko jego walnięcie w drzwi. Ależ ma temperamencik! - pomyślał. I zaczął już obmyślać, jak ją oswoić.

- Co tak długo?! - spytał Buddy podejrzliwie, kiedy Dan wrócił do kuchni.

- Nie bardzo wiem, jak przekazać ci tę nowinę, przyjacielu. Shannon bardzo poważnie potraktowała te nasze zaręczyny. Wygląda na to, że ja sam będę musiał nas nakarmić.

- Umiesz gotować? - spytał Buddy z nadzieją.

- Potrafię usmażyć bekon i zrobić grzanki. Gorzej z jajkami. Może wystarczy nam jajecznicza?

- Dla mnie może być. No to opowiadaj, co działo się z tobą, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni?

Co tych dwóch opętało? pomyślała Shannon, wrzucając swoje rzeczy do torby. A może wszyscy mężczyźni są tacy? Na-

prawdę spodziewają się, że wyjdzie za Dana tylko dlatego, że... Jak w ogóle Dan mógł poważnie potraktować pogroźki Buddy'ego? Przecież doskonale wiedział, że do niczego między nimi nie doszło.

Zrozumiała, że kiedy tylko będzie to możliwe, będzie musiała odbyć długą rozmowę z babcią. Może chociaż z nią da się porozmawiać rozsądnie?

Shannon wcale nie miała ochoty na szybkie zamażpójście. A gdyby nawet, chciała mieć prawo wyboru i decyzji.

Na pewno nie wybrałaby Dana Crenshawa.

Gorąco pragnęła kochać się z nim, ale nie chciała wyjść za niego. Jak to wytłumaczyć? - spytała samą siebie.

To był tylko chwilowy poryw pod wpływem okoliczności. Kiedy mogłam się nad tym zastanowić, zrozumiałam, że Dan i ja nie pasujemy do siebie.

Czyżby? Jej drugie ja nie ustępowało. Kiedy to dokonałaś tego rewelacyjnego odkrycia?

To było tylko dziecięce zauroczenie, to wszystko. Wielu ludzi ma takie błękitne, zniewalające oczy.

Prawda, najprawdziwsza prawda. Rzecz w tym, że Dan i ja nie kochamy się. Już dawno postanowiłam, że nie wyjdę za męża, dopóki nie będę absolutnie pewna, że kocham go i że on mnie kocha.

Daj więc mu szansę. Czyż nie po to tu przyjechałaś? Dan powiedział przecież, że chciałby spędzić z tobą więcej czasu. Przyjechałaś tu z nadzieją, że lepiej go poznasz i że on będzie mógł poznać ciebie. Temu właśnie służą zaręczyny. Dają możliwość planowania przyszłości.

Nie jestem zaręczona!

Usłyszała stukanie do drzwi i spłoniła się. Wystraszyła się, że jej rozmowa z samą sobą mogła być słyszana na korytarzu.

- Kto tam? - spytała cicho.

W otwartych drzwiach pojawiła się roześmiana twarz Dana.

- Śniadanie gotowe - powiedział i błyskawicznie zamknął drzwi. Usłyszała tylko nucenie i odgłos oddalających się kroków.

Dan? Roześmiany? Nucący pod nosem?

Niebysza! To musiał być skutek silnego uderzenia w głowę. Powinna natychmiast porozmawiać z bratem. Wy tłumaczyć im obu, że to nie żarty. Że nie mogą bez niej podejmować takich decyzji.

Może powinna obu stuknąć w głowę?

Po raz ostatni rozejrzała się wokół. Podniosła torbę i wyszła z pokoju. Natychmiast poczuła woń smażonego bekonu. Przy najmniej nie czekali, aż ich nakarmi. Jednak byli sprytniejsi, niż sądziła.

Postawiła torbę przy drzwiach frontowych i ruszyła na poszukiwanie kawy. Kiedy weszła do kuchni, mężczyźni przerwali rozmowę i odwrócili głowy w jej kierunku. Mieli bardzo zadowolone miny. Co tu się dzieje?! pomyślała.

- Dzień... dobry - bąknął nieśmiało Buddy. - Miło znów cię widzieć, Shannon.

Zignorowała go. Nalała sobie kawy i dopiero wtedy odwróciła się do nich. Oparła się o szafkę.

- Zjesz śniadanie? - spytał Dan. Gestem wskazał stos spalonych grzanek, kupkę zwęglonego bekonu i odrażającą masę nie wysmażonej jajeczniczy.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Chyba jednak zrezygnuję - powiedziała.

Dan wyraźnie się zmartwił.

- Wiesz, Shannon - odezwał się Buddy. - Bardzo mi przykro, że zjawiłem się tu trochę nie w porę.

- Trochę?! Przekroczyłeś wszystkie granice przyzwoitości i dobrze o tym wiesz.

- Dan zrozumiał. On też ma siostrę, wiesz? Bardzo trudno nie czuć się odpowiedzialnym za tak bliską ci osobę.

Wypiła kawę i wstawiła filiżankę do zlewu. Popatrzyła na brata. Na człowieka, którego zawsze podziwiała. Ale nie tego ranka.

- Spróbuj - rzuciła i wyszła.

Nacisnęła guzik windy, gdy Dan wyskoczył z mieszkania.

- Dokąd idziesz? - zawołał.

Gdzie ta cholerna winda?

- Do domu - odparła.

- Nie możesz teraz wyjechać. Musimy najpierw omówić kilka spraw.

- Nie musimy nic omawiać, Dan. Jeśli o mnie chodzi, możesz zostać tutaj do końca życia. Twoją firmę może trafić szlag. Nie obchodzi mnie to. Nie powinnam była próbować wkraczać w twoje życie. Nigdy nie umiałam tak postępować i teraz muszę zapłacić za tę pomyłkę. - Winda nadszła. - Żegnaj, Dan. - Weszła do środka.

Drzwi powoli się zasunęły przed osłupiałym Danem.

Tego wieczora Dan jak zwykle siedział przy swoim stoliku w barze ze szklaneczką whisky w dłoni. Sący jej zawartość już od trzech godzin.

W barze wszystko było po staremu. Ale czego mógł oczekiwać? Przecież nie było go tu tylko przez kilka wieczorów. Jemu jednak wydawało się, że cały świat powinien się zmienić.

Czuł się zagubiony. Nie mógł pojąć, że w tak krótkim czasie mógł aż tak żyć się z Shannon. Z tą, która była dla niego tylko wielkim utrapieniem.

Nie rozumiał, jak, ale stało się.

Psiakrew! Równie dobrze mógłby wrócić do pracy. Wcale nie czuł się szczęśliwy, siedząc w barze. Opróżnił szklaneczkę, wstał i podszedł do Laramiego.

- Przepraszam, że ostatnim razem wyszedłem tak niespodziewanie - powiedział. - Ile ci jestem winien?

Laramie roześmiał się i wymienił kwotę.

- Wcale nie dziwię się, że przy tej nowej przyjaciółce zapomniałeś o wszystkim.

- Wcale nienowej. - Potrząsnął głową. - Znamy się od lat. - Nie całkiem skłamał. W końcu tylko jej nie pamiętał.

- Szczęściarz z ciebie.

- Oj, tak. - Wetknął portfel do kieszeni. - Szczęściarz ze mnie.

Następnego ranka Dan zatrzymał samochód przed bramą swojego rancza. Wystukał na klawiaturze kod otwierający bramę i oficjalnie powrócił do swojego świata.

Żwirowa droga wiała się wśród wzgórz porośniętych wielkimi dębami. Na mijanych pastwiskach pasło się długorogie bydło. Na innych skubały trawę owce i kozy.

Wysoki wiatrak obracał się leniwie, pompując wodę do wielkiego zbiornika.

Minęło ponad pięćdziesiąt lat od czasu, gdy Caleb Crenshaw tu osiadł. Dan zastanawiał się czasem, czy dziadek uwierzyłby, że jego ranczo będzie istniało tak długo. Zdawał sobie sprawę, że nie byłoby to możliwe bez pomocy przyjaciół. Jego ojciec, niedługo przed śmiercią, zatrudnił Toma Parkera. Było to najlepsze, co mógł uczynić. Tom również wychowywał się na ranczu w pobliżu. Miał nawet nadzieję je odziedziczyć. Niestety, nim skończył szkołę, jego rodzice musieli je sprzedać.

Był taki moment, kiedy Dan poważnie obawiał się, że Tom odejdzie. Od dłuższego czasu wiedział, że Tom interesował się Mandy. Kiedy jednak w życiu jego siostry pojawił się Rafe, całkiem straciła dla niego głowę.

Dan zatrzymał się przed kolejną bramą. Wszystkie zabudowania

otoczone były płotem. Żeby zwierzęta nie uciekały. Otworzył bramę, wjechał, zamknął ją starannie i podjechał pod dom.

Kiedy był już na podjeździe, we wrotach stodoły zobaczył Toma, który uśmiechnął się radośnie i biegiem ruszył do samochodu.

- Kogo my tu mamy?! - Poklepał Dana po plecach. - Cieszę się, że znów cię widzę, szefie.

Dan pomasaował łopatkę i rozejrzał się dookoła.

- Co słyhać? - spytał.

- Nie mogę narzekać. A co u ciebie? W pierwszej chwili nie poznałem cię, bo taki jesteś opalony. Widać, że wakacje były udane.

Dan sięgnął na tylne siedzenie samochodu po torbę.

- Były udane. Ale zbudziłem się dziś rano i z obrzydzeniem pomyślałem, że jeszcze jeden dzień miałbym przesiedzieć na plaży. Wtedy zrozumiałem, że czas wracać do domu.

- Rafe będzie szczęśliwy, kiedy zobaczy twój wstrętny pysk.
- Tom wciąż uśmiechał się szeroko.

- Tak myślisz?

- No pewnie. Przez cały czas próbował pilnować firmy i powstrzymać Mandy przed wyjazdem do ciebie.

Dan z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Nie sądzisz, że doglądanie Kelly'ego i Angie powinno dać jej wystarczająco dużo zajęcia?

- Mówiąc prawdę, w ciągu ostatnich dziesięciu dni Mandy i Maria zajęte były od świtu do nocy. Przybyło nam bowiem czworo nowych wychowanków.

- Dzięki Bogu, że mama Rafe'a też zgodziła się wziąć udział w tym programie edukacyjnym. W jakim wieku są te dzieciaki?

- Niech pomyślę. Jeden jest mniej więcej w wieku Kelly'ego i ma jakieś czternaście lat. Dalej dwaj bracia ośmio- i dziesięcioletni. I dziewczynka, sześciolatka.

Dan wybuchnął śmiechem.

- Sześćioletnią dziewczynkę chcą uczyć prowadzenia rancza? Muszę to zobaczyć.

Tom również się uśmiechnął.

- Ta mała pomaga karmić jagnięta. Bardzo to lubi.

- Muszę zatelefonować do kilku osób. - Dan sięgnął po torbę. - Zobaczymy się rano i powiesz mi, co wydarzyło się tutaj w ostatnich tygodniach.

- Doskonale. Dobrze, że wróciłeś.

Dan skierował się do drzwi kuchennych. Cały dom był nieskazitelnie wypucowany. To dzieło Mandy, pomyślał. Zaniósł torbę do swojej sypialni, wziął szybki prysznic i włożył czyste dżinsy i flanelową koszulę.

Potem zadzwonił do firmy i kazał się połączyć z Rafe'em.

- Jak tam surfowanie? - spytał Rafe.

- Kiedy wyjeżdżałem dziś rano, fale były paskudne. Ale myślę, że teraz sztorm już osłabł.

- A gdzie ty teraz jesteś?

- Na ranczu.

Pauza.

- Jesteś w domu? - spytał Rafe.

- Tak. Tom powiedział, że mamy kilkoro nowych wychowanków. Jak sobie radzą?

Rafe zachichotał.

- O! Doskonale. Nie wiem tylko, czy my damy sobie radę. Jeszcze nigdy nie widziałem takich kipiących energią istot.

- Mandy musi być szczęśliwa.

- Nie rozmawiałeś z nią?

- Jeszcze nie. Ale mam nadzieję zobaczyć ją przy obiedzie. Może obie z Marią ulitują się i nakarmią mnie.

- Cieszę się, że wróciłeś.

- Ja też się cieszę. Słyszałem, że w firmie pojawili się kan-

dydaci do pracy. Czy mógłbyś zajrzeć do ich ofert i podać mi numer telefonu jednej osoby?

- Zaczekaj. - Rozległo się prztyknięcie i Dan usłyszał w słuchawce skoczną melodyjkę. Uśmiechnął się. - O kogo ci chodzi? - spytał po chwili Rafe.

- O Shannon Doyle.

- Skąd wiesz, że złożyła podanie? - Rafe nie zdołał ukryć zdumienia.

- Spotkałem ją na wyspie. Chciałem porozmawiać na temat pracy, ale wyjechała wcześniej.

- Zrobiła na mnie wrażenie świetnie przygotowanej.

- To mnie nie zaskakuje. Gdzie ona mieszka?

Rafe podał mu adres w południowo-wschodniej części Austin i numer telefonu.

- Dzięki. Kiedy wrócisz do domu?

- A jak myślisz? Nie będę z tym zwlekał.

- Do zobaczenia wkrótce.

Dan odłożył słuchawkę i popatrzył na leżącą przed nim kartkę z numerem telefonu. Nie mógł zrozumieć, dlaczego tak denerwował się przed rozmową z Shannon. Przecież spędzili razem tylko kilka dni. A tak silne zrobiła na nim wrażenie.

Przez ostatnie dwa dni wciąż za nią tęsknił. Teraz, gdy lada chwila miał znów usłyszeć jej głos, był zdenerwowany.

Przecież nie jesteś smarkaczem, skarcił się w myślach. Był dorosłym mężczyzną, który właśnie odkrył w swoim życiu coś bardzo ważnego.

Że bez Shannon Doyle jest puste.

Podniósł słuchawkę i wybrał numer.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Telefon zadzwonił wiele razy, nim Dan usłyszał zdyszany głos Shannon:

- Halo?
- Zadzwoniłem nie w porę?
- Dan? - spytała po bardzo długiej chwili.

Uśmiechnął się. Rozpoznała jego głos!

- Tak - odparł.
- Skąd masz ten numer?
- Zamieściłaś go w podaniu o pracę. Przeszkodziłem ci w czymś?

- Właśnie wychodziłam spod prysznica, kiedy zadzwoniłeś.

Oczywiście wyobraźni Dan zobaczył ją owiniętą tylko ręcznikiem. Zadrżał. I poczuł złość na samego siebie. I konsternację oraz wstyd. Że sam jej głos aż tak bardzo go podniecił.

- Ja... Zastanawiałem się właśnie, czy moglibyśmy spotkać się jutro u mnie w biurze. Chciałbym z tobą porozmawiać.

- Skąd dzwonisz?
- Z rancza.
- Kiedy wróciłeś?
- Jakies pół godziny temu.
- Wybierasz się jutro do pracy?
- Chyba już najwyższy czas, nie sądzisz?
- Wiesz... To chyba nie jest najlepszy pomysł, żebym u ciebie pracowała.
- Być może. Porozmawiamy o tym jutro... o dziesiątej?

Czekał z lękiem. Bał się, że Shannon odmówi.

- Dobrze, niech będzie o dziesiątej. - Jednak się zgodziła.
- No, to do zobaczenia. - Rozłączył się.

Wiedział, że powinien mieć jakiś plan. Rozumiał zakłopotanie Shannon po gwałtownym pojawieniu się brata. Postanowił jednak, że wykorzysta taki obrót zdarzeń do własnych celów.

Pragnął jej. Pożądał jak żadnej innej kobiety. Nawet byłej narzeczonej. Już choćby tylko dlatego musiał poznać ją lepiej. Przekonać ją, że mogliby pracować razem.

Na szczęście Buddy był po jego stronie.

I tajemnicza babcia Shannon.

Musiał więc przygotować jakiś plan. Ale przedtem musiał stawić czoło swojej siostrze.

- Nie do wiary! - powiedziała Mandy, gdy wszedł do domu, który zbudowała razem z Rafe'em. - Postanowiłeś powrócić do domu i pracy.

Mandy była o dwa lata młodsza od Dana i Rafe'a. Ale nie wyglądała na swój wiek. Tak naprawdę, nie wyglądała nawet na dość dorosłą, by być matką Kelly'ego. Jej adoptowany syn był już wyższy od niej. I z uśmiechem przyglądał się scenie powitania brata z siostrą.

- Zwykle nazywa się to wakacjami. Ludzie na całym świecie korzystają z nich co roku.

Mandy zachichotała i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Cieszę się, że już jesteś w domu - powiedziała.

Przytulił ją z całej siły.

- Ja też - powiedział. - Może przynajmniej nie będę już musiał odbierać tych cholernych telefonów od ciebie.

- Mógłbyś przeżyć załamanie, gdyby nikt nie zauważył twojego zniknięcia - odparła z uśmiechem.

- Jak było na plaży? - spytał Kelly, który usadowił się za

wielkim kuchennym stołem. - Wypatrzyłeś tam jakąś fajną sztukę w bikini?

- Kelly! -jęknęła Mandy. - Uważaj, co mówisz!

- Co ja takiego powiedziałem? - zdumiał się chłópiec.

- Nie powiem, że nie widziałem. - Dan także usiadł za stołem.

Mandy ze zgrozą wzniosła oczy ku niebu.

- Jesteś jeszcze gorszy niż przedtem - powiedziała.

- Wiesz, Mandy - mrugnął znacząco do Kelly'ego - dopiero przed chwilą wróciłem do domu. Nie zdążyłem nawet pojechać do sklepu. Pomyślałem więc, że... - zawiesił głos.

Mandy z irytacją potrząsnęła głową.

- Powinam była wiedzieć, że przyszedłeś tu nie bez powodu. Ale tak się składa, że właśnie dziś Maria gotuje w domu gościnnym i wszyscy jesteśmy zaproszeni.

- Rozumiem, że masz nowych gości.

- Zgadza się. - Oczy jej rozblęły. - Trzy opiekunki i czworo dzieci. Wygląda na to, że goście całkiem dobrze zadomowili się u nas.

- Naprawdę bardzo się cieszę.

Mandy usiadła przy stole.

- Marzenia się spełniają, Dan. Rozmawialiśmy już o tym.

- Maria na stałe zamieszkała w „Przystani Wędrowców”?

- Tak. Zająła pokoje przy kuchni. Staraliśmy się z Rafe'em namówić ją, żeby zamieszkała tutaj, z nami. Ale ona powiedziała, że chce mieć własny kąt. Jestem taka szczęśliwa, że chciała zostać na ranczu.

W tym momencie wszedł Rafe. Ogarnął szybkim spojrzeniem rozradowaną żonę, zachwyconego syna i pogodnie uśmiechniętego przyjaciela.

- Proszę, proszę, któż to wreszcie zjawił się w domu! - po-

wiedziała Mandy, nadstawiając usta do pocałunku. Po długiej chwili Rafe uniósł głowę.

- Chcesz piwa? - spytał Dana.

- Czemu nie?

- Gdzie jest Angie?

- Wierz albo nie, ale śpi. Ale chyba już ją zbudzę. - Mandy rzuciła okiem na zegar. - Inaczej będzie tu szaleć do północy.

- Rozmawiałeś z Shannon? - spytał Rafe. Zatrzasnął łokciem lodówkę i podał Danowi butelkę. Dan, gdyby mógł, dzieliłby go za wzmiankę o Shannon. Nie był jeszcze gotowy na rozmowę na jej temat z Mandy.

- Shannon? - Mandy była zaskoczona. - Czy mówicie o Shannon Doyle?

Dan nie wiedział, co myśleć o tak wielkim zaciekawieniu siostry.

- Nie wiedziałem, że ją znasz - bąknął.

- Oczywiście, że ją znam - wzruszyła ramionami. - Przecież chodziłyśmy razem do szkoły. Nie pamiętasz jej?

- Ani trochę. Tylko jej brata. - Odruchowo pomasaował swoją szczękę. Długo jeszcze będzie pamiętał Buddy'ego.

- Aha. - Mandy zamierzała coś powiedzieć, lecz rozmyśliła się.

W niemym zdziwieniu Rafe czekał na odpowiedź Dana.

- Tak. - Dan westchnął ciężko. - Przyjedzie na rozmowę jutro o dziesiątej.

- Dostaliśmy wiele bardzo poważnych ofert.

- No i dobrze. - Dan pociągnął z butelki spory łyk piwa. - Możemy przyjąć więcej niż jedną osobę. Sporo o tym myślałem. Nie mam już zamiaru pracować tak intensywnie jak niegdyś. Chcę zrzucić na kogoś innego część moich obowiązków.

- Mówisz rozsądnie - odparł Rafe.

Mandy jeszcze raz nabrała powietrza, by coś powiedzieć, ale

nie odezwała się. Ku zdumieniu Dana. Może nie chciała, by od sprzeczki z siostrą zaczął się nowy etap w jego życiu?

- Pójdę pomóc Marii przy kolacji - powiedziała. - Może któryś z was zwróci uwagę na Angie.

Kelly zachichotał.

- Nie ma człowieka, który by jej nie usłyszał - powiedział.
- Cały świat dowiaduje się natychmiast, że ona się budzi.

- Miałem na wyspie niezwykle przeżycie - powiedział Dan, kiedy Mandy wyszła.

- Tak? - mruknął Rafe.

- Zostałem porwany.

Rafe omal się nie udławił. Kiwnął się gwałtownie na krzesło i parsknął przed siebie piwem.

Kelly zareagował nieco bardziej powściągliwie. Zastygł w bezruchu z oczami olbrzymimi jak spodki.

Dan mocno klepnął Rafe'a po plecach.

- Przepraszam. - Z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

- Co się z tobą, u diabła, dzieło?! - spytał Rafe, gdy odzyskał głos.

- Zobaczyłem trzech typków rozmawiających z Shannon. Nagle jeden chwycił ją za rękę. Podszedłem i poprosiłem, żeby zachowywał się grzecznie. Wtedy jeden z kumpli tego faceta walnął mnie w głowę. I zabrali nas oboje na statek.

- Żarty sobie stroisz? - zapytał Rafe z niesmakiem.

- Przestań. Wiem, że dla ciebie, chojraku, taka historia to pestka. Ale ja nie byłem komandosem, jak ty.

- Kto was porwał?

- Przedstawił się jako Gianni Guardino. Wydaje mi się, że pochodzi z St. Louis. Był nawet bardzo grzeczny, jak na zaistniałe okoliczności. Koniecznie chciał dowiedzieć się czegoś o byłym chłopaku Shannon. Jego ludzie wytropili ją aż na wyspie, żeby ją o tego chłopaka spytać. I kiedy wciąż

powtarzała im, że nic nie wie, postanowili zabrać ją do szefa. Żeby sam ją wypytał. A że próbowałem zgrywać bohatera, zabrali i mnie.

- Mój Boże, Dan! - wybąkał Rafe. - Na moment nie mogę spuścić cię z oczu, żebyś nie wplątał się w coś niebezpiecznego. Zaraz, zaraz! Czy to działo się podczas ostatniego sztormu?

- Oj, tak.

- To jak znaleźliście się na łądzie?

- Guardino wysadził nas w Galveston. Bardzo się kajał i przeproszał. Dał nam nawet na drogę kilkaset dolarów. W końcu porwał nas wprost z plaży.

Rafe potrząsnął głową.

- Tylko ty potrafisz się wplątywać w takie kłopoty.

Dan roześmiał się.

- Obawiam się, że nie mogę zaprzeczyć. - Popatrzył na Kelly'ego. - Ale zatrzymajcie to dla siebie, zgoda? Nie ma potrzeby niepokoić Mandy.

Rafe zgodził się z nim natychmiast.

Dan nie miał szczególnej ochoty na dalsze opowieści. Zwłaszcza że rzecz dotyczyła także Shannon. Dlatego z radością przyjął dobiegające z sąsiedniego pokoju przeraźliwe wrzaski. Piętnastomiesięczna Angie oznajmiała w ten sposób, że wyspała się i czeka, by ktoś się nią zajął.

Kiedy rozległ się brzęczyk interkomu i Donna, recepcjonistka, oznajmiła, że przyjechała Shannon, Dan pracował w swoim gabinecie już od paru godzin.

- Wprowadź ją - powiedział.

Wstał i otworzył drzwi. Wyciągnął rękę na powitanie. Shannon, ubrana w elegancki kostium i pantofelki na wysokich obcasach, zrobiła na nim piorunujące wrażenie.

- Jak miło, Shannon, że zechciałaś zobaczyć się ze mną

- powiedział uprzejmie. Skinieniem głowy odprawił Donnę. - Wejdź, proszę - zwrócił się do swego gościa.

Przyjechał do pracy w sportowej marynarce. Lecz już dawno temu ją zdjął. Krawat też. Ale skoro Shannon widziała go już w kąpielówkach, nie uważał za konieczne, by włożyć garnitur, jak czynił to zwykle przy oficjalnych spotkaniach.

Za to ona wyglądała bardzo elegancko.

- Napijesz się kawy? - spytał, kiedy już usiedli.

- Nie, dziękuję - odparła cicho.

Jakże tęsknił za dźwiękiem jej głosu. Za jej widokiem. Za rozmową z nią. Za pocałunkami.

Uświadomił sobie, że znalazł się w tarapatkach.

Przez moment przekładał papiery na biurku. W końcu uprzytomnił sobie, że to on powinien prowadzić tę rozmowę. Dokumenty Shannon leżały tuż przed nim.

- Twoje podanie zrobiło na mnie wielkie wrażenie - powiedział.

- Dan, ja...

Długo milczał. W końcu spytał:

- Tak?

- Myślę, że to zły pomysł - powiedziała.

- Tak, już wczoraj mówiłaś, że masz jakieś opory przeciw pracy ze mną.

- Bo to byłby koszmar.

- Rozumiem. - Przyglądał się jej w milczeniu. - Skoro tak uważasz, nie będę zmuszał cię, byś wysłuchała, co mam ci do zaoferowania.

Wstał i obszedł biurko.

Ona również wstała, wyraźnie przestraszona tak niespodziewanym zakończeniem rozmowy.

- Skoro więc mamy za sobą część oficjalną, proponuję, byśmy wybrali się na zakupy. - Spojrzał na zegarek. - Do

lunchu zostało jeszcze kilka godzin. To dość czasu, byśmy znaleźli...

- Zakupy? - szepnęła, jakby po raz pierwszy usłyszała to słowo.

Wziął ją za rękę.

- Obrączki. Od tego chyba przecież trzeba zacząć przygotowania do ślubu?

- O czym ty mówisz?!

Wyprowadził ją z biura do zaparkowanego za budynkiem samochodu. Otworzył drzwiczki i cofnął się pół kroku. A ona popatrzyła nań przeciągle. Potem na samochód. Potem znów na niego i znów na auto. Kompletnie zdezorientowana, potrząsnęła głową i... wsiadła. Dan bardzo ostrożnie zamknął drzwiczki.

Kiedy usiadł za kierownicą, Shannon powiedziała:

- Nie weźmiemy ślubu, Dan. - Głos drżał jej lekko. Pochylił się i musnął pocałunkiem jej usta. Już dłużej nie mógł czekać.

- Dałem słowo - odparł poważnie. Uruchomił silnik, zapiął pas i wyjechał z parkingu.

- Przecież to śmieszne. Odbyłam wczoraj wieczorem długą rozmowę z Buddym i wyjaśniłam mu, że...

- Twoja babcia spodziewa się, że weźmiemy ślub.

Potarła czoło.

- Moja babcia? Nie znasz mojej babci - dodała nerwowo.

- Oczekuję spotkania z nią równie niecierpliwie, jak z całą resztą rodziny. Nic nie mówiłaś o swoich rodzicach. Czy jeszcze żyją?

- Mama żyje. Razem z babcią wciąż mieszkają na ranczu. Prowadzi je Alan, mój starszy brat.

- A Buddy co robi?

- Jest trenerem futbolu na uniwersytecie stanowym.

- Mieszkasz z nim?

Spojrzała na niego zdumiona.

- Nie. Skąd takie przypuszczenie?

- Bo mieszkasz w Austin.

Westchnęła.

- Mam w mieście mieszkanie. Sądziłam, że w ten sposób łatwiej mi będzie znaleźć pracę.

- Pomyślałem sobie, że najchętniej wziąłbym ślub w Dzień Dziękczynienia - powiedział tonem swobodnej konwersacji.

- W Dzień Dziękczynienia! Przecież to już za dwa tygodnie! Oszalałeś?

- Wiem. - Zatrzymał auto na skrzyżowaniu. - Będzie nam trudno załatwić formalności w kościele w tak krótkim czasie. Dlatego mam inny pomysł. Poprosimy twojego proboszcza, żeby udzielił nam ślubu na moim ranczu w sobotę po Dniu Dziękczynienia. Usiądziemy przy telefonie i zaprosimy rodzinę oraz przyjaciół. Uroczystość będzie skromna. Ale, oczywiście, jeśli tylko zechcesz, z radością zobaczyłbym cię w długiej białej sukni.

Zapaliło się zielone światło.

- Dlaczego to robisz? Chcesz mnie upokorzyć? Czy nie dość, że mój brat zachował się jak neandertalczyk? Chcesz pójść w jego ślady?

- Nie sądzę, by małżeństwo ze mną mogło w jakikolwiek sposób cię poniżyć. Ale dwa tygodnie to najdłuższy czas, przez jaki zdołam powstrzymać się przed zaciągnięciem cię do łóżka i kochaniem się z tobą do szaleństwa. Pozostawałaś dziewicą tyle czasu. Wytrzymasz jeszcze przez dwa tygodnie. Ale nie każ mi dłużej czekać! - Zatrzymał samochód na parkingu przed sklepem. - Mam nadzieję, że dopóki nie znajdziemy się sam na sam w pokoju z łóżkiem, dopóty będę w stanie zachowywać się jak należy.

Wyskoczył z auta i z galanterią otworzył swojej pasażerce drzwiczki.

Shannon powoli odpięła pas. Niepewnie przyjęła podaną dłoń i wysiadła.

- Uważam, że powinieneś zobaczyć się z lekarzem. Kompletnie zwariowałeś.

Uśmiechnął się szeroko i mocno ścisnął jej dłoń.

- Wziąłem pierścionek mojej mamy, żeby jubiler go dopasował. Ale chciałbym, byśmy od razu wybrali obrączki. Wiem, dokąd pójdziemy.

Po chwili weszli do sklepu najbardziej znanego w okolicy jubilera.

- Dan, nie możemy tego zrobić - rzuciła półgłosem, spoglądając nerwowo na innych klientów. - Nie mam pojęcia, co Buddy ci powiedział, ale zapewniam cię, że w taki sposób nie można się pobierać.

Uśmiechnął się.

- No, cóż - powiedział - mamy dwa tygodnie, żeby się przekonać, czy jesteśmy dla siebie stworzeni. Uważam, że mamy wiele wspólnego. Myślałem, że kiedyś mogłabyś prowadzić ze mną firmę, ale skoro nie chcesz...

- Chcesz, żebym wyszła za ciebie i jeszcze pracowała razem z tobą?

- Przecież to jest doskonałe rozwiązanie. Kiedy tylko wyjdziemy z biura, natychmiast będziemy mogli razem zajmować się czymś innym. Nie będziemy musieli tracić czasu i wyczekiwać spotkania.

- Ja chyba śnię! - Shannon potarła czoło, jakby rozboleła ją głowa. - Ale zaraz się obudzę. - Rozejrzała się dookoła, zacisnęła powieki i znów je otworzyła.

- Nie chcesz wyjść za mnie, Shannon? - spytał Dan. Wziął ją za rękę i spojrzał w jej śliczne oczy. Czuł, że mógłby utopić się w nich i umrzeć szczęśliwy.

- Nie o to chodzi - odparła.

Poczuł wielką radość. Nie powiedziała „nie”, a to był już wielki postęp.

- Rzecz w tym - tłumaczył półgłosem - że ja zgodziłem się ożenić z tobą. Nie rozumiem, czemu ty masz z tym taki problem. Ja nie miałem.

- To poważna sprawa.

- Wiem o tym. Dlatego właśnie znaleźliśmy się u jubilera, żeby wybrać obrączki.

- Chodziło mi o to, że nie możemy, ot tak, postanowić o ślubie. Przecież wcale się nie znamy.

- Naprawdę mam zamiar zmienić to jak najszybciej. - Podszedł do kontuaru. - A teraz sprawdźmy, czy w sprawach biżuterii mamy podobny gust.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W Dzień Dziękczynienia, na dwa dni przed ślubem, Shannon zbudziła się z przeświadczeniem, że całkiem straciła kontakt z rzeczywistością, o zdrowym rozsądku nie wspominając.

Pierwsze, co zobaczyła, gdy otworzyła oczy, to była wisząca na drzwiach jej ślubna suknia. Widomy dowód, że całkowicie straciła zdolność racjonalnego myślenia. Popatrzyła na swoją dłoń, na której lśnił pierścionek. Kiedyś własność mamy Dana. Jej pierścionek zaręczynowy.

Od chwili kiedy Dan zapłacił niebagatelną sumkę za ich obrączki, żyła jakby w upiornym śnie. I nie było nikogo, kto zapewniłby ją, że na pewno nie wyjdzie za Dana Crenshawa.

A przecież był to pomysł absurdalny.

Problem polegał jednak na tym, że musiała walczyć zarówno z własnymi uczuciami, jak i z nieodpartym wpływem Dana na jej zmysły. Dan tak potrafił zorganizować sobie pracę, że spotykali się każdego dnia. A kiedy już byli razem, zawsze jej dotykał. A to położył jej rękę na ramieniu, a to objął. Pogłaskał. Pocałował.

Czy miała możliwość wymazać go z pamięci?

Jak tego dokonał? Znów wróciła do tamtych strasznych lat, gdy dniami i nocami marzyła, by Dan Crenshaw w ogóle ją zauważył. Cóż jednak miała zrobić, kiedy wreszcie ją dostrzegł? Zemścić się?

Zmieniło się tylko jedno. Już nie idealizowała go w swych pragnieniach. Widziała w nim człowieka z krwi i kości.

Minęło bezpowrotnie dziewczęce zauroczenie. Ale w zamian zakochała się do szaleństwa.

I dlatego ślubna suknia wisiała na drzwiach i szydziła z niej. A także dlatego, że babcia zmusiła ją do biegania po sklepach. Buddy musiał jednak naopowiadać jej takich rzeczy o tym, co zobaczył na wyspie, że uznała, iż szybki ślub jest absolutnie konieczny.

A babci w żaden sposób nie można było przekonać.

Shannon nieraz próbowała szukać pomocy u matki, ale bez powodzenia. Mama wzruszała tylko ramionami i mówiła, że babcia ma bardzo silną osobowość. Pani Doyle nigdy nie sprzeciwiła się swojej matce. Stwierdziła, że nie będzie również sprzeciwiać się małżeństwu córki z mężczyzną, z którym ta dzieliła apartament. A może i łoże.

Już za niecałą godzinę powinien przyjechać Dan, by zabrać Shannon na ranczo, gdzie odbędzie się wielkie przyjęcie dla przyjaciół i najbliższych z okazji Dnia Dziękczynienia.

Po raz pierwszy spotkają się obie rodziny. Po powrocie z wyspy Shannon wiele razy rozmawiała z Mandy. Za każdym razem prosiła ją, by przekonała Dana, że to wszystko nie ma sensu.

Mandy tylko się z niej śmiała. Mówiła, że to przedślubne zdenerwowanie.

Mimo tych wątpliwości, kiedy Dan zastukał do jej drzwi, Shannon była gotowa. I jak zwykle, kiedy stanęła z nim twarzą w twarz, musiała zwalczyć w sobie pragnienie zarzucenia mu rąk na szyję. I pocałowania go. Namiętnie i gorąco.

Swoją drogą, to nie było w porządku, żeby jakiś mężczyzna robił na niej aż takie wrażenie.

- Dzień dobry, słonko - powiedział. Objął ją i pocałował. Trwało to długo. - No, wystarczy - mruknął w końcu. - Na teraz. Musimy już jechać. Ale jeszcze tylko dwa dni.

Jeden pocałunek sprawił, że nie mogła powstrzymać drżenia kolan ani zebrać myśli.

- Czy już ci mówiłem, że wyglądasz dzisiaj wprost oszałamiająco? - powiedział.

Nie odezwała się. Ubrany w sprane dzinsy i obcisłą koszulkę, podkreślającą jego muskularną sylwetkę, budził w niej niezwykle pragnienia.

- Jesteś gotowa? - spytał. Przechylił na bok głowę. - Odkąd tu wszedłem, nie powiedziałaś ani słowa.

Shannon wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się.

- Dzień dobry, Dan.

Naręczony pocałował ją znowu.

- Czeką nas dzisiaj mnóstwo zabawy. - Podał jej rękę i poprowadził do wyjścia. - To będzie jakby próba generalna przyjęcia weselnego, prawda? Mam nadzieję, że wszyscy dzisiejsi goście przyjadą także w sobotę. Proboszcz zgodził się przyjechać na ranczo?

Kiwnęła głową.

- Babcia zdołała go przekonać.

- Bardzo chciałbym poznać wreszcie twoją babcie - powiedział Dan, gdy wsiedli do samochodu. - To dopiero musi być kobieta!

- O, tak! Bez wątpienia!

- Buddy też dziś przyjedzie, prawda?

- Owszem, choć to nie on, tylko Alan poprowadzi mnie do ołtarza.

- Może powinniśmy poprosić Buddy'ego, żeby podawał obrączki? W końcu ma wielki wkład w urzeczywistnienie naszego małżeństwa.

- Wiem o tym aż za dobrze. Ale nic by nie zdołała, gdybyś nie poddał się tak skwapliwie.

Dan wybuchnął śmiechem.

- Buddy ma wyjątkowy dar przekonywania. Już ci mówiłem. Będę pamiętał, żeby nigdy go nie denerwować.

Shannon nie uśmiechnęła się.

- Już ja swoje wiem - powiedziała. - Ty wcale się go nie boisz. Przez ostatnie dwa tygodnie ciągle zastanawiałam się, dlaczego tak nalegałeś na to małżeństwo.

- I co wymyśliłaś?

- Ktoś szantażem zmusił cię do tego.

- Bingo! Trafiłaś za pierwszym razem. Przepraszam, że każę ci się śpieszyć od samego rana, ale zostawiłem zarządcę przy pieczeniu indyków i chciałbym wrócić jak najszybciej, by zapiać wszystko na ostatni guzik.

- Kim więc jest ten szantażysta? - spytała.

- Nie mam pojęcia. Dlaczego nie możesz po prostu pogodzić się z faktem, że chcę się z tobą ożenić?

Shannon bez słowa spoglądała na przesuwający się za oknem krajobraz. Nie mogła powiedzieć Danowi, jak bardzo boli ją, że nie rozumie motywów jego postępowania. Gdyby ją kochał, powinien był jej to powiedzieć. Jeżeli nie kocha, po co ciągnie tę farsę? A co stanie się, gdy, już po ślubie, on spotka kogoś, kogo pokocha naprawdę? I czy ona zdoła przeżyć tak bolesny cios?

- Wydaje mi się, że to dlatego, bo uważam, iż ty niczego nie traktujesz poważnie. Podchodzisz do małżeństwa jak do jakiejś gry.

- Bardzo poważnie traktuję małżeństwo - odparł Dan. - Właśnie dlatego wciąż jestem kawalerem. Choć mam już trzydzieści trzy lata. Nie chciałem popełnić błędu. Kiedy już ożenię się, będzie to związek do końca życia.

- Skoro więc zamierzasz zrobić ten krok, czemu nie poświęcisz więcej czasu na dokładne przemyślenie wszystkiego?

- Już to zrobiłem.

- W dwa tygodnie?

- Mnie to wystarczyło. Sądzę, że mam głowę do interesów. Potrafię ważyć szanse i możliwości, umiem oceniać ludzi i szybko podejmować decyzje. Nie wiem, dlaczego postanowiłaś przyjechać na wyspę i wkroczyć w moje życie. I już mnie to nie interesuje. Ale nie wierzę, byś mogła to zrobić, nie mając do mnie zaufania, nie wierząc, że nie spróbuję wykorzystać okazji. Czy zgadzasz się z tym?

Uśmiechnęła się.

- Małżeństwo jest wyjściem honorowym. Poza tym doskonale wiesz, że już wystarczająco długo trzymałem ręce z daleka od ciebie.

Spuściła oczy. Na dłoń Dana spoczywającą na jej udzie.

Wybuchnął śmiechem.

- Spokojnie. Nic ci nie grozi. Ponieważ uważam siebie za człowieka dobrze wychowanego, nie zamierzam cię uwieść. Dopóki nie włożę ci obrączki na palec.

- Z tego wynika, że pożądasz mnie.

Uśmiechnął się szeroko.

- Świetnie. Czy już ci mówiłem, co zaplanowałem na nasz miesiąc miodowy?

- Nie.

- Mój przyjaciel zawiezie nas samolotem na pewną wyspę. Zamieszkamy tam w jego chacie, a po kilku dniach on po nas przyleci.

- Tak po prostu?

- Oczywiście. Mam na ranczu pas startowy. Wiele razy podróżowałem z tym przyjacielem po całym kraju. Spędzimy parę dni tylko we dwoje. Poza tym wciąż mam nadzieję, że namówię cię do pracy w mojej firmie. Przed Bożym Narodzeniem muszę załatwić niezliczoną ilość spraw. Mam zamiar przekonać cię, byś mi pomogła.

Ot, nowy twardy orzech do zgryzienia! Czyżby żenił się z nią z wyrachowania? Dla jej zawodowych kwalifikacji?

Prędzej oszaleje, niż rozgryzie Dana Crenshawa.

- Po raz pierwszy będę na twoim ranczu - powiedziała po chwili.

- Wiem. Bardzo mi przykro. Ale sama widziałas, że od powrotu z wyspy wciąż miałem mnóstwo zajęć. Ale tym razem cała rodzina niecierpliwie czeka, by cię wreszcie poznać. Rafe'a już spotkałeś w biurze. Mandy nie potrafi przypomnieć sobie, kiedy widziała cię po raz ostatni, i nie może już się doczekać, gdy będzie mogła pokazać ci Angie, moją siostrzenicę.

Biedna Mandy! Nie mogła przecież wyjawić bratu, że kontaktowały się całkiem niedawno, żeby nie zdradzić swego udziału w tajnej misji Shannon na wyspie.

Shannon też nie miała zamiaru tego ujawniać. Nie widziała powodu, dla którego Dan miałby złościć się na Mandy. Przecież nie można gniewać się o coś, o czym się nie wie.

Kiedy minęli bramę rancza, Dan posłał Shannon ciepły uśmiech. Na odwagę. Choć tak naprawdę sam denerwował się chyba jeszcze bardziej. Udawał, że nieodległy ślub napawa go radością. Jednak w rzeczywistości bał się śmiertelnie.

Cóż bowiem wiedział o małżeństwie?

W szkołach nie uczą, jak być dobrym mężem. Od dnia ślubu jego rodziców świat zupełnie się zmienił. A tylko ich wspólne życie znał. Jakoś nie potrafił wyobrazić sobie Shannon postępującej zgodnie z przyzwyczajeniami jego ojca.

Lecz stało się. Już lada chwila miał poślubić Shannon Doyle.

Oczarowała go. Nawet nie zauważył, jak i kiedy. Wiedział tylko jedno. Za żadne skarby świata nie pozwoli, by odeszła z jego życia.

I oto po raz pierwszy miał przedstawić ją rodzinie. A zarazem

poznać jej krewnych. Z niecierpliwością czekał na spotkanie z jej babcią. Sadząc po tym, jak wielki strach budziła we wszystkich, wyobrażał sobie, że to po niej Buddy odziedziczył posturę.

Chyba ta staruszka nie mogła być na niego wściekła, prawda? Wszak zgodził się na małżeństwo. Tak jak chciała. W głębi ducha Dan był jej wdzięczny. Dawała mu bowiem gwarancję, że Shannon nie rozmyśli się w ostatniej chwili.

Z ulgą spostrzegł, że Rafe, Mandy i cała reszta towarzystwa jeszcze nie przyjechali. Rzucił okiem na zegarek. Mieli z Shannon dla siebie jeszcze prawie godzinę.

- Dan, jak tu pięknie!

Wyraźnie się ucieszył.

- Dzięki. Widzisz właśnie typowe wiejskie gospodarstwo - powiedział. - Nie ma tu niczego nadzwyczajnego.

- Podoba mi się tutaj.

Poprowadził ją do tylnych drzwi, z których korzystano częściej niż z drzwi frontowych.

- Pokażę ci dom - zaproponował. - Potem zobaczymy, jak sobie radzi Tom.

Prowadził Shannon od jednego pomieszczenia do drugiego. Przez ponad pięćdziesiąt lat dom wielokrotnie przebudowywano. On sam całkiem niedawno wyremontował kuchnię. W drzwiach sypialni zatrzymał się. Z zaciekawieniem patrzył, jak jego narzeczona rozgląda się po olbrzymim wnętrzu.

- Oczywiście możesz zmienić tu wszystko, co zechcesz - powiedział cicho. - Jeżeli coś ci się nie spodoba, po prostu wyrzuc to.

- Czy przypadkiem nie ty projektowałeś wystrój domu? - zapytała.

Oparł się o framugę. Chciał być jak najdalej od niej. W obcisłych dżinsach i jedwabnej bluzeczce była tak pociągająca, że nie mógł ryzykować.

- Tak, ja. Chciałem, żeby można tu było dobrze wypoczywać. Zerknęła do łazienki.

- W tej wannie można by wydać małe przyjęcie.

Uśmiechnął się.

- Może urządzimy sobie coś takiego za... tydzień?

Z przyjemnością patrzył, jak Shannon się zarumieniła.

- Doskonały pomysł.

Otoczył ją ramieniem i ruszyli korytarzem.

Tymczasem za domem pojawiły się dwie furgonetki. Dan rozpromienił się, gdy na nowszej, białej, zobaczył godło - napis „Przystań Wędrowców” w pętli lassa.

I znak, i nazwę dla części rancza przeznaczonej dla dzieci, które tam przyjeżdżały, wymyśliła Mandy.

Dzieciaki wyskoczyły z auta i popędziły za dom, skąd dolatywały smakowite zapachy.

Z drugiego auta wysiedli Mandy, Kelly, Maria i Rafe z Angie na rękach. Dan dostrzegł napięcie malujące się na twarzy Shannon.

- Śmiało - powiedział. - Rafe'a i Mandy już znasz. Teraz poznasz mamę Rafe'a, jego syna i córeczkę.

Ale to Mandy odezwała się pierwsza.

- Shannon, nareszcie znów cię widzę. Po tylu latach. - Wzięła ją w objęcia. - Zła byłam na Dana, że nie przywiózł cię tutaj wcześniej. Ugiął się dopiero dwa dni przed ślubem. - Spojrzała na brata. - Bał się chyba, że powiemy ci wszystko, co o nim wiemy, i że czmychniesz stąd, gdzie pieprz rośnie. - Dała Danowi sójkę w bok. - Bardzo dziś jesteś z siebie dumny, bracie.

Rafe stał tuż za Mandy. Trzymał wymachującą rączkami i wesoło gaworzącą Angie.

- Daj jej w końcu dość do słowa, Mandy - powiedział.

- Miło cię widzieć. - Skinął głową Shannon.

I dopiero wtedy, otoczona zewsząd rodziną Dana, Shannon poczuła, że to wszystko działo się naprawdę. Zareczyny, obrączki, suknia, ślub za dwa dni - wszystko to było prawdziwe. Nie spodziewała się, że ranczo jest tak duże, dom tak funkcjonalny, a ludzie tacy serdeczni.

Dan przedstawił ją pani McClain, mamie Rafe'a. I Kelly'emu, który zaczerwienił się i nagle zainteresował kręcącym się mu u stóp psem. Potem Shannon ucałowała małą Angie. Przez cały czas czuła na sobie wzrok Dana. Zastanawiała się, co myśli. Zdawało się jej, że próbuje przeniknąć ją spojrzeniem, poznać wszystkie jej sekrety.

Wziął ją za rękę.

- Chodźmy sprawdzić, co robi Tom - powiedział. - Nie wiem, jak wy, ale ja umieram z głodu.

Wszyscy ruszyli za nim do wielkiego namiotu, gdzie dymiły ruszty i rozstawiono stoły.

- Muszę wypakować prowiant z furgonetki - powiedziała Mandy. - Pomożesz mi, Shannon?

- Kto by przypuszczał, że tak się sprawy potoczą - powiedziała, kiedy oddaliły się od pozostałych.

- Dan całkiem zwariował - mruknęła Shannon.

- Nie wydaje mi się. - Uśmiech rozjaśnił twarz Mandy. - Potrzebny mu był sygnał. Budzik. Ty byłaś tylko posłańcem. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam go tak szczęśliwego i radosnego. A przecież, jak twierdzi Rafe, odkąd wrócił, pracuje niezwykle dużo. Widać, że znalazł nowy sens swojego życia. Jesteś cudotwórczynią, Shannon.

- Ale żebyśmy zaraz musiały brać z nim ślub?!

- Przecież go kochasz, prawda?

- Tak. Bardzo. - Shannon nie widziała powodu, by kłamać.

- A on świata za tobą nie widzi. Trudno nie wybuchnąć śmiechem, gdy patrzy się na niego. Nie odstępuje cię na krok.

Kiedy jeszcze byli z Sharon, prawie cały czas ją ignorował. Nic dziwnego, że odeszła.

- Nic mi o niej nie opowiadał.

- Bo i nie ma o czym mówić. Wydaje mi się, że w pewnym momencie uznał, iż nadszedł czas się ożenić. Wybrał dziewczynę, która jak sądził, może być dobrą żoną, i usiłował zrealizować swoje plany. Nie sądzę, by kierował się wtedy uczuciami.

- Ale on jest teraz taki bezbronny.

- Tak. To prawda - Podała Shannon tacę pełną okrytych folią półmisków. - Zrzucił w końcu wszystkie maski oraz pancerze i pozwolił uczuciom pokierować sobą. To naprawdę fantastyczny widok. - Uniosła drugą tacę i skierowała się do domu. - Chodź, poszukamy sztucców. Kiedy przyjedzie twoja rodzina?

Shannon ciężko westchnęła.

- Nie wiem. Alan z żoną mają wpaść tutaj w drodze do jej rodziców. Buddy obiecał przywieźć mamę i babcię.

Ustawiły tace na kuchennym stole. Mandy ścisnęła rękę Shannon.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziała. - Pomyśl, jeszcze tylko dwa dni! Czyż to nie cudowne?

Shannon czuła się zdruzgotana. Choć wiedziała, że to dopiero początek.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kiedy wyszły przed dom z tacami pełnymi jedzenia, znalazły się w samym centrum szaleństwa. Dzieci i psy biegały, hałasując. Zewsząd dobiegały krzyki i śmiech.

Shannon patrzyła na to w zachwycie. Kiedy tylko Dan ją dostrzegł, wziął za rękę i zaprowadził do wysokiego, przystojnego blondyna o wspinających, stalowoszarych oczach.

- Shannon, to jest Tom Parker, mój zarządca. Tom, to jest Shannon. Ja pierwszy ją zobaczyłem.

Tom z uśmiechem podał jej rękę.

- To prawdziwa przyjemność poznać panią. Teraz doskonale rozumiem, czemu Dan tak się śpieszy do ołtarza.

- Możesz już puścić jej rękę, Tom - powiedział Dan i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Mięso jest już chyba gotowe - powiedział Rafe, zaglądając pod pokrywę garnka. - Myślicie, że uda się nam usadzić te dzieciaki, żeby je nakarmić?

Mandy zachichotała.

- Zdumiewające, że jeszcze nie rzuciły się na jedzenie. Pierwszy raz w życiu uczestniczą w barbecue. Od kilku dni nie mówiły o niczym innym.

- Doskonale - powiedział Dan. - Możemy zatem zacząć napełniać talerze. Lada chwila powinna nadjechać rodzina Shannon.

Jak za sprawą czarodziejskiego zaklęcia, zza węgła wyjechała półciągarówka. Oczy wszystkich skierowały się w jej kierunku.

To był Buddy.

Sam.

Shannon podbiegła do niego. Nie zdążył jeszcze wysiąść, gdy dopadła go i zawołała przerażona:

- Gdzie mama i babcia?!

- Uspokój się, siostrzyczko! Nic się nie stało. Babcia powiedziała rano, że jest trochę zmęczona. I że bardziej jej zależy, żeby być w dobrej formie w sobotę. Dlatego postanowiła dzisiaj odpoczywać. No i mama, oczywiście, została z nią. Przesyła wszystkim serdeczne pozdrowienia.

- Jesteś pewien, że babci nic nie jest?

Buddy otoczył ją ramieniem i uściśnął.

- Tak, myślę, że tak - odparł. - Może to tylko nadmiar emocji przed twoim ślubem? Mam nadzieję, że ją zrozumiesz. Obiecała, że w sobotę na pewno tu będzie.

- Czy coś się stało? - spytał Dan, kiedy podeszli do namiotu.

- Właściwie nie - powiedziała Shannon. - Babcia i mama postanowiły nie przyjeżdżać tu dzisiaj. Ale babcia obiecała, że na pewno przyjadą w sobotę.

Uwolniła się z objęć Buddy'ego i natychmiast wpadła w ramiona narzeczonego.

- Tak mi przykro, kochanie - powiedział Dan. - Wiem, jak bardzo jesteś rozczarowana.

Rzeczywiście tak było. Tak się cieszyła na spotkanie babci i Dana. A tu trzeba czekać aż do ślubu.

- Ale Alan i Sue przyjadą? - spytała brata.

- Tak. Ale dopiero koło czwartej. Prosili, żeby zostawić im choć po jednym żeberku. Bo na indyka już nie liczą.

Nim starszy brat i jego żona dotarli na przyjęcie, Shannon uspokoiła się już zupełnie. Dan powitał ich bardzo serdecznie i po chwili czuli się jak u siebie w domu.

Shannon obserwowała go uważnie przez cały czas. Ujął ją swobodą, z jaką nawiązywał kontakt z dziećmi. Ze starszymi grał w piłkę. Potem bardzo poważnie dyskutował z sześcioletnią Tami o jej nowej zabawce i o przyjęciu dla lalek, które mogła wydać dzięki plastikowemu serwisowi do herbaty, który właśnie dostała.

Jak mogłaby nie kochać takiego człowieka? Był tak porywająco przystojny. Ale też był dobrym człowiekiem. Uczciwym i godnym zaufania.

Za dwa dni miał zostać jej mężem.

Jeśli to sen, to spraw, dobry Boże, modliła się w duchu, bym nigdy się nie obudziła.

Był już późny wieczór, gdy ostatni goście opuścili ranczo. Po raz pierwszy od wielu godzin Dan i Shannon zostali sami.

- Do Austin jeszcze taki kawał drogi - powiedziała Shannon.

Dan spojrział na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Dzień minął tak szybko. I był tak uroczy. Dan bardzo żałował, że nie poznał mamy i babci Shannon. Zastanawiał się, czy nie zaproponować, że odwiedzi je następnego dnia. Na razie jednak pragnął choć trochę czasu spędzić z Shannon.

- Zawsze przecież możesz zostać tutaj - powiedział. Przytrzymał siatkowe drzwi i puścił ją przodem do kuchni. Wewnątrz było prawie ciemno. Tylko lampa w korytarzu rozsiewała bladą poświatę.

- Dopiero byłoby gadanie! - powiedziała.

Dan rozłożył szeroko ręce.

- Mamy trzy sypialnie - odrzekł.

- I uważasz, że Buddy uwierzy, iż spałam w osobnym pokoju?

Dan uśmiechnął się.

- Co jeszcze może mi zrobić? Przecież za czterdzieści godzin i tak się z tobą ożenię. - Uśmiechnął się jeszcze radośniej.
- Oczywiście, wcale nie liczę tych godzin.

Shannon objęła go.

- Trudno, kowboju, przekonałeś mnie. - Wspięła się na palce i pocałowała go.

A jego serce ruszyło galopem. Zamknął ją w uścisku i odwzajemnił pocałunek.

- Wyglądasz na strasznie dumnego z siebie - mruknęła.

- Bo mam powód. Udało mi się zatrzymać cię tutaj.

- I co... zamierzasz z tym zrobić?

Postanowił jej zademonstrować. Powolutku rozpiął jej bluzeczkę i zsunął ją z ramion. Potem sięgnął za jej plecy. Odpiął staniczek i zdjął równie wolno.

- Uważam, że powinniśmy poznać się trochę lepiej - szepnął. Jego dłonie powędrowały w dół, wzdłuż jej ramion. Aż dotarły do piersi. Wtedy pochylił się i dotknął ich ustami. Zadygotała. Lecz nie zaprotestowała.

- Smakujesz równie wspaniale, jak wyglądasz - wyszeptał. Kiedy trącił sutkę końcem języka, zeszywniała. Oddech Shannon stał się odrobinę nierówny. Wsunęła mu dłonie pod koszulę i pogłaskała go. Wtedy pokazał jej, co to naprawdę znaczy, gdy mężczyzna całuje kobietę. Ujął w dłonie jej piersi. I podczas gdy pieścił jedną pierś, przywarł wargami do drugiej. Ścisnął i całował, aż Shannon stęknęła głucho, całkiem tracąc oddech.

Poderwał głowę i ustami przywarł do jej warg. Wpił się w nie namiętym, ognistym pocałunkiem. Płomień, który tlił się w nim od samego rana, odkąd ją ujrzał, gdy otworzyła mu drzwi, wybuchnął gwałtownie. Całował ją raz za razem, odrywając się tylko po to, by zaczerpnąć powietrza.

Osunęli się i usiedli na podłodze. Dan wziął ją w ramiona

i objął mocno. Całował. Pieścił - od ust, przez szyję, ramiona, piersi, aż po brzuch. Jego dłonie również nie próżnowały. Nie dawały zapomnieć jej piersiom o swoim istnieniu.

- Chce ci się spać? - spytał.

- Jeszcze jak. Nie mogę unieść powiek - drażniła się z nim.

Potem chwyciła go za włosy. - Doskonale wiesz, co mi robisz.

- Oho, ho!

- Przecież wiesz, że teraz nie dam rady zasnąć. Czeka mnie bezsenna noc.

- Oho, ho!

- Specjalnie to zrobiłeś, prawda?

- Oho, ho!

Zacisnęła pięść i uderzyła go w ramię.

- Wy, Doyle'owie, lubicie bić, nieprawdaż? - rzucił radośnie.

- I nigdy o tym nie zapomnij - powiedziała. - Jeśli będziesz sprawiał mi kłopoty, wezwę Buddy'ego. Już on cię podreguluje.

- Umieram ze strachu.

- Właśnie widzę.

Pochylił się i znowu pocałował jej pierś. Ścisnął wargami sutkę, trącił ją językiem.

- Nie mogę się wprost nadziwić, jak jesteś drobna i delikatna... zwłaszcza w porównaniu z Buddym.

- Buddy jest podobny do wujka Raymonda. On kiedyś zawodowo grał w futbol amerykański.

Dan posadził ją sobie na kolanach. Splótł palce z jej palcami.

- Przyrzekam ci, Shannon, że nigdy nie będziesz żałowała, że zostałam zmuszona do wyjścia za mnie.

- Nikt mnie nie zmuszał, Dan.

- W porządku. Ale nie miałaś dość czasu, by zmienić zdanie.

- Boisz się, że mogę się rozmyślić?

Wzruszył ramionami.

- Przyszła mi taka myśl do głowy.

Spojrzała na pierścionek migocący na jej palcu.

- Dałeś mi pierścionek swojej mamy. To było mistrzowskie posunięcie. Zupełnie jakby zmaterializowało się wszystko, co naopowiadałeś panu Guardino. Zaręczyny, pierścionek.

- Sprzeciw twojej rodziny.

- Nieprawda! Buddy powiedział mi dzisiaj, że nawet nie zaczął szukać swojej starej strzelby. Tak jest pewny twoich dobrych intencji.,

- Dobrze o tym wiedzieć. Mogę ze spokojem patrzeć w przyszłość.

Ujęła w dłoń jego twarz.

- Tak bym chciała, żebyś nie musiał tego żałować. Wiesz przecież, że znamy się zbyt krótko, by brać ślub. Oboje wiele ryzykujemy.

- Wiem. Ale nie chcę ryzykować, że znowu znajdziesz sobie jakiegoś Ricka Taylora. Udowodniłaś już, że zupełnie nie znasz się na męczyznach.

- Wielkie dzięki! Właśnie to chciałam usłyszeć w tej chwili.

- Skoro już o czasie mowa, to przykro mi, ale muszę przerwać ten uroczy wieczór. Jutro czeka mnie bardzo męczący dzień. Muszę się wyspać. - Wybuchnął śmiechem. - Choć nie bardzo wiem, jak to zrobię, wiedząc, że ty jesteś po drugiej stronie korytarza.

- Na szczęście przed nami jeszcze tylko dwie samotne noce. Przytulił ją.

- Tak. Ale potem zawsze chcę zasypiać, trzymając cię w ramionach.

Następnego ranka Dan gotów już był wyrwać sobie wszystkie włosy z głowy. Jeden z urzędników odkrył, że ostatnie zamówienie zostało źle wypisane. Dwie dostawy czekały na od-

biór, a firma spedycyjna się spóźniała. Na jego biurku zaś piętrzył się stos papierów. I, co gorsza, rósł w zastraszającym tempie.

Dlatego też, kiedy rozległ się brzęczyk interkomu z recepcji, Dan nie był w najlepszym humorze.

- O co chodzi, Donna? - warknął, próbując równocześnie zrozumieć, co miał na myśli jeden z dostawców, który właśnie przysłał długi e-mail.

- Ja... bardzo przepraszam, ale pewna pani chciałaby widzieć się z panem. Mówi, że nie była umówiona, ale jest pewna, że zechce pan ją przyjąć.

Zezłościł się. Bardzo chciał wydostać się wreszcie spod zwału papierów i nie miał ochoty rozmawiać z kimkolwiek.

- Czy powiedziała, jak się nazywa?

- Kamiko Usura Stevens.

- Kamiko Stevens? Nie znam nikogo takiego. Czy powiedziała, czego chce?

- Nie, proszę pana.

Dan prychnął tylko, zde gustowany. Tego mu tylko brakowało.

- Dobrze. Zaraz do niej wyjdę.

Cisnął słuchawkę i ruszył do drzwi. Kto to może być? pomyślał. I po co tu przysłała właśnie dziś?

Wszedł do recepcji i stanął jak wryty. Czekająca tam drobniutka, niziućka, siwiuteńka kobieta. O wielkich migdałowych oczach.

Jak Shannon.

- Pani Stevens? - Podeszedł do niej. - Jestem Dan Crenshaw. Czuję się zaszczycony, że zechciała pani przyjechać do mnie. Może przejdziemy do mojego gabinetu?

- Wie pan, kim jestem? - spytała cicho.

Dan uśmiechnął się.

- Pani musi być babcią Shannon. Mam rację?

Starsza pani wytwornie skinęła głową.

- Tak jest, w istocie - odparła.

Dan odwrócił się do recepcjonistki.

- Zechciej podać nam... - popatrzył na panią Kamiko. -
Napije się pani kawy czy raczej herbaty?

- Herbaty, jeśli można.

- Herbatę proszę - polecił Donnie i podał ramię starszej pani.

- Proszę wybaczyć mi ten bałagan - powiedział Dan, gdy
weszli do gabinetu. - To dlatego, że...

- Proszę! - Starsza pani uniosła dłoń. - Postąpiłam nieelegancko, przychodząc tu bez uprzedzenia. Jednak to dla mnie bardzo ważne, byśmy porozmawiali jeszcze dziś.

Matko Boska! pomyślał przerażony Dan. Pewnie dowiedziała się, że Shannon spędziła ostatnią noc na moim ranczu. Musi mieć wszędzie swoich szpiegów!

Podał jej krzesło. Potem sam usiadł za biurkiem.

- Cieszę się, że pani przyjechała - powiedział z uśmiechem.
- Bardzo chciałem poznać panią. Zmartwiłem się, gdy usłyszałem, że nie czuła się pani dość dobrze, by odwiedzić nas wczoraj.

- Tak. I dlatego właśnie teraz tu jestem. Mam wyrzuty sumienia - odparła cichym głosem. Jej dłonie spoczywały nieruchomo na kolanach. Ileż razy widział Shannon siedzącą w taki sam sposób?! Spokojną i pewną siebie.

- Wie pani - powiedział z uśmiechem - że całkiem inaczej sobie panią wyobrażałem?

- Shannon nie powiedziała panu, że urodziłam się w Japonii?

- Nie mieliśmy wielu okazji, by rozmawiać o swoich rodzinach. Ale przed nami całe życie.

- Wie pan, moja córka bardzo złości się na mnie. Powiada, że stale wtrącam się do wszystkiego i nieustannie przysparzam problemów mojej wnuczce.

- Robi to pani dla jej dobra. Rozumiem to.

Staruszka skinęła głową z poważną miną.

- Tak, to prawda. Staram się ją chronić. Ale pragnę również, by była kochana. Moja córka przypomniała mi, że ja sama postąpiłam wbrew temu, co wpoili mi moi rodzice, kiedy wyszłam za Shermana Stevensa. Zlekceważyłam wszystko, czego mnie nauczono, i poszłam za głosem serca.

- Jak państwo się poznali?

- To stało się na kilka miesięcy przed zbombardowaniem Pearl Harbor. On służył wtedy w amerykańskiej Marynarce. Stacjonował na Hawajach. Ja pojechałam tam w odwiedziny do krewnych. Spotkaliśmy się i zakochaliśmy się w sobie. I zamiast wrócić do domu, zostałam z nim. Po bombardowaniu było nam bardzo ciężko. Rozumie pan, wszyscy uważali mnie za wroga.

- Musiało to być dla pani niezwykle bolesne, gdy pani ojczysty kraj znalazł się w stanie wojny z krajem męża.

- Owszem. Wszyscy przełożeni traktowali Shermana z wielką podejrzliwością. Żony oficerów nie chciały widywać się ze mną. Ale przetrwaliśmy ten trudny czas.

Rozległo się stukanie do drzwi. To Donna przyniosła herbatę. A Dan zastanawiał się, gdzie ona, u licha, znalazła imbryczek.

- Dziękuję. - Wziął od niej tacę i postawił na stoliku. Oprócz herbaty Donna postarała się o cukier, cytrynę i śmietankę. Kamiko uśmiechnęła się.

- Uświadomiłam sobie - ciągnęła - że przez ostatnie dwa tygodnie zmuszałam moją ukochaną wnuczkę do związku, którego ona sobie nie wybrała.

Dan poczuł, jakby lodowata pięść ścisnęła mu serce.

- Mam wrażenie, że wcale jej pani nie zmuszała - powiedział ostrożnie.

- Doskonale zdaję sobie sprawę, że dzisiaj młodzi zupełnie inaczej patrzą na sprawy miłości i małżeństwa, niż miało to

miejsce za moich czasów. Narzuciłam Shannon moją skalę wartości. Doskonale wiedziała, że gdyby mi się sprzeciwiła, byłabym bardzo poruszona.

Pochylił się ku niej.

- Przecież ona nie jest nieszczęśliwa z powodu tego, co ma nastąpić jutro, prawda?

- Ale ja jestem nieszczęśliwa.

- Rozumiem. Czego więc ode mnie pani oczekuje?

- Jeżeli Shannon naprawdę chce wyjść za mąż, chciałabym, żeby sama wybrała sobie męża. Tak jak stało się to w moim przypadku. Narzuciłam jej swoją wolę, jak kiedyś moja rodzina próbowała postąpić ze mną. Lecz ja im się sprzeciwiłam i posłuchałam głosu serca. Chciałabym, żeby moja wnuczka postąpiła tak samo.

- Czy to znaczy, że pani nigdy nie chciała, żeby Shannon mnie poślubiła?

Popatrzyła nań uważnie.

- Shannon wyznała mi, że między wami nigdy do niczego nie doszło. Uwierzyłam jej.

- Bo to prawda.

- Gdyby istniał choć cień prawdopodobieństwa, że moja wnuczka mogłaby być w ciąży, nie byłoby mnie tutaj.

- Rozumiem.

- Czyżby?

- Przyjechała pani oznajmić mi, że ślub został odwołany.

Pani Stevens kiwnęła głową.

- Nie mogę z czystym sumieniem patrzeć na to, co się dzieje. Moja córka miała rację. Miałam zamiar przyjechać do was w Dzień Dziękczynienia i wyznać, że byłam w błędzie. Lecz nie potrafiłabym spojrzeć wszystkim w oczy. Byłoby to dla mnie zbyt trudne. Zrozumiałam, że i tak zbyt często wtrącałam się w cudze sprawy. I że powinnam już przestać ingerować

w rozwój wydarzeń. Ale dziś uświadomiłam sobie, że nie mogę milczeć.

- Czy Shannon wie, że przyjechała pani do mnie?

- Jeszcze nie. W samochodzie czeka moja córka. Prosto stąd pojedziemy porozmawiać z Shannon.

- Rozumiem.

- Mam nadzieję, że wybaczy pan starej kobiecie, że tak bezpardonowo wtargnęła w pańskie życie?

- Nie muszę niczego wybaczać. Może poprawi to pani samopoczucie, jeśli powiem, że postanowiłem ożenić się z Shannon z bardzo prostego powodu. Ponieważ ją kocham.

- Przecież pan jej nie zna, panie Crenshaw - odparła cicho.

- We wszystkich ważnych kwestiach, pani Stevens, czuję, że znam ją doskonale. Jak to pani powiedziała, przemówiło do mnie moje serce. A ostatnio nieczęsto zdarzało mi się słuchać jego głosu. Byłem zdumiony i poruszony, gdy to się stało.

Staruszka uśmiechnęła się.

- To wspaniale - powiedziała. - Jeśli więc naprawdę kocha pan moją wnuczkę, zostawi jej pan całkowitą swobodę wyboru. Widzi pan, ona została wplątana w to wszystko wbrew jej woli.

- Tak, rozumiem. Chyba zawsze o tym wiedziałem.

Kamiko wstała.

- Dziękuję, Dan, że zechciał pan mnie wysłuchać.

On również wstał i podszedł do niej.

- Żałuję, że nie mogłem poznać pani wcześniej. Może umiałbym udowodnić pani, że nasze małżeństwo może być trwałe i szczęśliwe.

- Nie ma pośpiechu. Wszystko w swoim czasie.

Dan miał wrażenie, że nagle zabrakło tlenu w powietrzu. Z trudem łapał oddech.

- Dziękuję, że wyjaśniła mi pani to wszystko. - Ucisnął

pani Stevens dłoń. Spojrzał prosto w oczy. Bez drgnienia powiek wytrzymał jej badawcze spojrzenie.

Nie miał nic do ukrycia.

Odprowadził ją do wyjścia, przytrzymał drzwi i patrzył, jak wsiadła do staroświeckiej limuzyny. Za kierownicą dostrzegł jeszcze jedną postać. Ukłonił się i wrócił do biura.

Bez wątpienia, miała rację. Nie był wobec Shannon w porządku. Jej babcia zresztą także.

Na próżno starał się zrozumieć, dlaczego uczciwe postępowanie tak komplikuje życie.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

- Dan? Jesteś tam?! - zawołał Rafe od kuchennych drzwi.
- Czemu siedzisz po ciemku?

Dan siedział przed wyłączonym telewizorem ze szklaneczką whisky w dłoni. Odwrócił głowę.

- Co tu robisz? - spytał.
- Mandy uważa, że powinniśmy jakoś uczcić twój wieczór kawalerski. Powiedziałem, że niczego nie planowaliśmy, ona jednak uznała, że możesz potrzebować towarzystwa. - Usiadł i włączył lampę. - Co tu się, u diabła, dzieje?!

- Nic takiego - odparł Dan. Było mu wszystko jedno. Siedział tak, odkąd wrócił z pracy i myślał o swoim życiu. O wyprawie na wyspę. I o spotkaniu z Shannon. - Wspominałem sobie to i owo.

- Która to już? - Rafe wskazał na szklanekę w dłoni Dana. Dan uśmiechnął się.
- Pierwsza. Chyba więcej tu roztopionego lodu niż whisky.
- Przyłapał zatroskane spojrzenia Rafe'a. - Spokojnie, stary. Mam to już za sobą. Szkoda dla mnie dobrego alkoholu.
- Nigdy bym nie przypuszczał, że tak będziesz świętował swój wieczór kawalerski. Jestem zaskoczony.
- Szczerze mówiąc, jestem trochę zniechęcony. Nie wydaje mi się, że bym mógł poprowadzić pannę młodą do ołtarza.
- O czym ty mówisz?
- Pamiętasz Shannon? Nie, na pewno nie. Byłeś daleko, kiedy zaręczyłem się z nią. Ale cóż, okazała się na tyle rozumna,

że wycofała się, zanim popełniła tę wielką pomyłkę. Zanim wyszła za mnie. Musisz przyznać, że zawsze wybierałem mądre dziewczyny. Zbyt mądre, by chciały wziąć mnie za męża.

- Czy chcesz powiedzieć, że Shannon odwołała ślub?

- Ujmijmy to tak: jej babcia postanowiła opuścić strzelbę, która była dla nas najważniejszym bodźcem do tego małżeństwa.

- Jej babcia?!

- Ona bardzo wiele znaczy w swojej rodzinie. - Uśmiechnął się. - Choć może to wydać się śmieszne. Bo ona nawet w mokrym ubraniu waży chyba mniej niż kurczak. Nie potrafię uwierzyć, że Buddy Doyle jest jej wnukiem.

- Chyba muszę się napić, bo na trzeźwo za nic nie mogę doszukać się sensu w tym, co mówisz. - Rafe poszedł do kuchni. - Mam nadzieję, że masz jakieś piwo?

- Tak, tak. Jestem doskonale zaopatrzony. Na jutrzejszą uroczystość. - Podniósł do góry szklanekę pełną rozwodnionego alkoholu i popatrzył na nią pod światło. - Przynies i dla mnie! - zawołał.

- Nie wiem, czy powinienem to robić. - Rafe podał mu butelkę. - Na trzeźwo gadasz od rzeczy. Diabli wiedzą, co będzie, gdy zaczniesz pić.

Usiadł i położył nogi na stoliku do kawy.

- Teraz opowiedz mi, w jaki sposób babcie mogą tak trząść rodzinami.

Dan westchnął boleśnie.

- Wszyscy darzą ją wielkim szacunkiem. Robią wszystko, cokolwiek im każe. Tak to jest. Kazała Buddy'emu wyjaśnić, co zaszło między Shannon i mną. Dopadł mnie, kiedy jeszcze spałem. Nie mogłem połapać się, po co przyjechał. Zobaczył Shannon w seksownej koszulce nocnej i wmówił sobie, że zabawialiśmy się właśnie w najlepsze. No i musiałem ponieść zasłużoną karę.

- Czy ty...?

- Co: ja?

- Spałeś z nią?

- Nie. Choć miałem na to wielką chętkę, sam rozumiesz? Technicznie rzecz ujmując, spaliśmy razem na jachcie. To znaczy, dzieliliśmy jedno łóżko. I spaliśmy. Przynajmniej do czasu, gdy zbudził nas sztorm.

Rafe wybuchnął śmiechem.

- Co cię tak śmieszy, u diabła?!

- Ty. Podjąłeś tę niespodziewaną decyzję o małżeństwie pod przymusem? Kogo chcesz oszukać? Przecież szalejesz za Shannon.

- Waśnie! Sęk w tym, że nikt nigdy nie zainteresował się uczuciami Shannon. Jej babcia miała rację. Shannon zgodziła się na nasz ślub tylko ze strachu przed staruszką. Wcale nie chciała wychodzić za mnie. Tak naprawdę zależało jej tylko na posadzie w naszej firmie. - Pociągnął długi łyk z butelki. - Nie śmiesz cię to, Rafe? Ona nie chciała wyjść za mnie. Chciała u mnie pracować. Gdzie te czasy, kiedy dziewczyna zaczynała pracę, bo miała nadzieję na małżeństwo z szefem? W dzisiejszym świecie to się nie zdarza! Kobieta nie potrzebuje męża, by się urządzić. Może wieść życie samodzielne i niezależne.

- Oho, ho! Rozmawiałeś już o tym z Shannon?

- Nie musiałem. Jej babcia postanowiła wyznać swój błąd i prosić o przebaczenie. Shannon na pewno świętuje teraz odzyskanie wolności.

- Miałem nadzieję, że mamy już za sobą to twoje uzalanie się. Widzę jednak, że zaczynamy kolejną rundę.

Dan spojrział na Rafe'a zdumiony.

- O czym ty mówisz, do cholery?!

- Posłuchaj tylko samego siebie. Z góry poczyniłeś założenie, że żadna dziewczyna nie zechce wyjść za ciebie, jeśli dać

jej wolny wybór. Bo i czemu? Jesteś paskudny jak noc, niewykształcony, łajzowaty i z trudem wiążesz koniec z końcem. Co więc masz kobiecie do zaoferowania? Shannon nie jest przecież taka głupia, prawda?

- Wiesz, Rafe, czasami straszny z ciebie skur... - zakasłał gwałtownie. - Skurczybyk. Użalam się nad sobą, tak?

- Tak to wygląda. Siedzisz tutaj po ciemku, gapisz się w ścianę, a w ręce ściskasz szklaneczkę. Jak nic, pijaństwo z rozpaczy!

- Dobrze, że nie widziałeś mnie na wyspie.

- To co innego.

- Czyżby? Niby dlaczego?

- Leczyłeś rany po tym, jak twój wspólnik rozwalił ci firmę i omal nie wsadził cię do paki. Kiedy zdarza się coś takiego, każdy zaczyna we wszystko wątpić. Nawet w samego siebie. Trzeba czasu, żeby z tego wyjść. I na nowo spojrzeć na świat. Na siebie. Musimy dowiedzieć się, kto naprawdę kryje się pod naszą maską. Kiedy Mandy posłała Shannon, żeby sprawdziła, co się z tobą działo, miałeś już dość tego grzebania się we własnej psychice. Byłeś gotów na zmiany. Zgadzam się, że porwanie to trochę zbyt dużo, lecz bez wątpienia przyspieszyło ono jeszcze ten proces.

- Zaraz! Zaraz! Chwileczkę! Co to miało znaczyć, to o Mandy? To ona posłała Shannon za mną?

- Tak. Ona oczywiście nie ma pojęcia, że ja o tym wiem. Shannon zadzwoniła do niej tej nocy, kiedy cię znalazła. Akurat byłem w domu. Usłyszałem dość, żeby domyślić się reszty. Ale czemu miałbym pozbawiać Mandy całej przyjemności?

Dan zaczął się śmiać. Coraz głośniej. Po chwili Rafe przyłączył się do niego.

- Mam ochotę na jeszcze jedno piwo - powiedział Dan.
- Przynieść ci?

- Jasne. Czemu nie? Przecież to twój kawalerski wieczór, prawda?

Nie przestając się śmiać, Dan poszedł do kuchni. Po chwili wrócił z dwiema butelkami.

- To wszystko wyjaśnia - powiedział. - Sądziłem, że Shannon przyjechała szukać mnie, bo chciała dostać pracę.

- Nie sądzę, by aż tak jej na niej zależało. Prawdę mówiąc, z jej wiedzą i doświadczeniem mogłaby sama dyktować warunki większości firm w mieście.

- Dowiedziałem się, że szalała za mną, kiedy chodziliśmy do szkoły.

- Żartujesz! Powiedziała ci to?

- Ależ skąd! Ona nie wie, że ja wiem. Buddy mi powiedział. Po tym jak sprawił mi lanie za to, że jakoby spałem z jego siostrą.

- Fajne miałeś wakacje - zarechotał Rafe. - Jak to dobrze, że ja zostałem w pracy. Urlop może być strasznie niebezpieczny. Zwłaszcza taki jak twój.

- Powiedz mi, dlaczego uważałeś, że rozczulałem się nad sobą?

- Widzisz, ja nie znam Shannon zbyt dobrze. Do diabła, w ogóle jej nie znam! Ale z twojego opisu odniosłem wrażenie, że jest to dziewczyna nowoczesna i niezależna. Nie mieści mi się w głowie, że mogłaby zgodzić się na małżeństwo tylko dlatego, żeby nie zranić uczuć babci. Jeśli zaś to ona odwołała ślub, to nie uwierzę, że nie zadzwoniła najpierw do ciebie.

- Byłoby ładnie z jej strony.

- Jak najbardziej. - Rafe zachichotał.

- Co w tym śmiesznego?

- Używasz zwrotów jak z podręcznika dobrego wychowania. „Byłoby ładnie z jej strony”. - Naśladował go, krzywiąc się niemiłosiernie.

- Bo byłoby.

- Mandy miała rację.

- Że co?

- Nie powinieneś być dziś sam. Masz przedślubną treść. Pamiętasz, jaki okrutny byłeś przed moim ślubem?

- Ja? Okrutny? Kpisz sobie ze mnie. Urządziłem ci fantastyczną zabawę.

- Jeszcze jak! Opowiedziałeś mi o wszystkich okropieństwach, które Mandy ci wyrządziła, odkąd przysłała na świat.

- Ach, tak! - Dan uśmiechnął się. - Jak mogłem zapomnieć?

- I stale przypominałeś mi, że nie jest jeszcze za późno, żeby się wycofać.

- Naprawdę? Tak mówiłem?

- Ale było już za późno. O wiele miesięcy. Tak samo jest teraz z tobą. Boisz się, chłopie. I nawet nie jesteś pewien, co cię bardziej przeraża. To, że Shannon odwoła ślub, czy raczej to, że niczego nie odwoła i będziesz musiał brnąć do końca.

- Jeszcze nigdy nie słyszałem równie patetycznego opisu mojej sytuacji.

- Ale i niezwykle trafnego. Nie przypuszczałem, że zobaczę Dana Crenshawa aż tak wystraszonego. Uwierzyłybyś? W końcu jesteś jednak człowiekiem, jak my wszyscy. Dołącz do nas.

- Idź do diabła!

- To tak mi dziękujesz, że uratowałem cię przed samotnym siedzeniem w ciemnościach i rozpamiętywaniem swoich grzechów?

- Cieszę się, że tak wspaniale się bawisz.

- Powiedz tylko słowo, a zaraz pojedę do domu. Mandy na pewno jest już w łóżku. I nie miałyby chyba nic przeciwko temu, żebym do niej dołączył.

- Proszę! Mówisz o mojej siostrze! Nie mam ochoty słuchać o pikantnych szczegółach waszego pożycia.

Rafe wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak gwałtownie, że Dan się przeraził, iż szwagier zwariował. A więc mam, czego chciałem, pomyślał. Już dawno nie zrobiłem z siebie takiego głupca.

- W porządku. Masz rację. Teraz idź do domu i połóż się do łóżka z żoną. Ale oszczędź mi, proszę, detali. Ja też pójdę do łóżka. O ile mi wiadomo, jutro o godzinie drugiej po południu wolebnny Andy Smith powinien udzielić mi ślubu. Będę czekał przed ołtarzem, aż Shannon przybędzie.

- A ja będę przy tobie. Z obrączkami. Natomiast Mandy będzie towarzyszyć Shannon.

- Naprawdę sądzisz, że ona jutro wyjdzie za mnie? Dobrze, dobrze... tylko nie śmieję się już.

- Żałuję, że nie nagrałem naszej rozmowy. W każdą rocznicę waszego ślubu puszczałbym ci ją i patrzył, jak wijesz się ze wstydu.

- Idź do domu.

- Przyjadę jutro około jedenastej.

- Dobranoc, Rafe!

Dan nie wstał. Popatrzył tylko za odchodzącym przyjacielem, który wciąż śmiał się radośnie. Uświadomił sobie, że w dawnych czasach nie widział go nawet uśmiechniętego, a co dopiero mówić o śmiechu.

Jeśli małżeństwo potrafi tak cudownie odmieniać takich ponuraków jak Rafe, to może i mnie pomoże, pomyślał.

Było już późno i Dan poczuł, że jest wyczerpany. Poszedł do sypialni. Po raz ostatni sam. Następną noc spędzą z Shannon w apartamencie na wyspie. Starał się skupić myśli tylko na tym. Żeby nie myśleć, co go jeszcze czeka, zanim będzie mógł wziąć ją w ramiona.

Kiedy wreszcie wykapał się i znalazł się w łóżku, było już

po północy. Zaczął się dzień jego ślubu. Wyciągnął rękę, by wyłączyć lampkę, gdy zadzwonił telefon.

Gwałtowny i niespodziewany dźwięk wystraszył go. To na pewno Rafe chciał dołożyć mu ostatniego szturchańca przed snem. Podniósł słuchawkę i powiedział:

- Dobra, Rafe, czego jeszcze chcesz?

- To nie Rafe, Dan. To ja, Shannon.

Znieruchomiał.

- Shannon? Co się stało?

- Przepraszam, wiem, że jest już bardzo późno. Ale o czymś muszę ci powiedzieć.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Dan zbudził się bardzo wcześnie. Spojrzał na zegar. Gdyby był na wyspie, mógłby pójść na plażę i poczekać na wschód słońca.

Nie był na plaży, ale wiedział, że nie zdoła już zasnąć.

Poszedł do kuchni, zaparzył kawę i starał się nie myśleć o niczym. Stawiaj tylko stopę przed stopą, napominał się w myślach. Postępuj jak zwykle.

Z filiżanką kawy w dłoni wyszedł przed dom. Tom i trzej pracownicy siodłali konie. Kiedy zobaczył Dana, ruszył w jego kierunku.

- Dzień dobry - mruknął.

- Chyba niezły - odparł Dan.

Tom popatrzył w niebo.

- Chyba będzie ładna pogoda.

- Aha.

- No, jak tam?

- W porządku.

- Nie wyglądasz dzisiaj najlepiej.

- Dzięki, że to zauważyłeś.

Tom wybuchnął śmiechem.

- Co tu się dzieje? - Dan wskazał głową w stronę stajni.

- Przepędzimy stado na nowe pastwisko. Pomyślałem, że wszyscy potrzebujemy jakiegoś zajęcia.

Dan zapragnął pojechać z nimi. Ale był pewien, że pomyśleliby, iż oszalał.

- Odebrałem dziś telefon z firmy kurierskiej - powiedział Tom. - Mają dostarczyć jakąś przesyłkę i pytali o drogę do nas. Wysłałem pracownika, żeby otworzył im bramę. Chyba możemy nie zamykać jej na razie, prawda?

- Chyba tak. Co to za przesyłka?

- Nie powiedzieli.

- No, cóż. Chyba pora zrobić sobie śniadanie.

Tom zasalutował.

- Mam nadzieję, że dasz sobie radę - powiedział.

- To właśnie chciałem usłyszeć.

Tom uśmiechnął się.

- Trochę jesteśmy drażliwi z rana, prawda?

- Gdybym nie wiedział, pomyślałbym, że zmówiliście się z Rafę'em przeciwko mnie.

- Nie tylko drażliwy, ale jeszcze chorobliwie podejrzliwy. Mam nadzieję, że to nie jest zaraźliwe - mruknął Tom i odszedł, jakby cały świat nie obchodził go ani trochę.

Dan również.

Jakiś czas później Dan zdążył już zjeść olbrzymią porcję jajecznicy z grzankami i właśnie zastanawiał się, czyby nie napić się jeszcze kawy, gdy na podwórzu zajęchała olbrzymia ciężarówka.

Wyszedł przed dom.

- Pan Dan Crenshaw? - spytał kierowca.

- Tak.

Kierowca wrócił do samochodu i po chwili wytaszczył z niego wielkie, ciężkie pudło.

- Gdzie to postawić? - spytał.

- Na ganku.

- Proszę tu podpisać. - Dostawca podał Danowi formularz, potem wrócił do auta i odjechał.

Dan z zaciekawieniem przyglądał się paczce. Była starannie

zapakowana. Wyjął z kieszeni szczyryk i otworzył pudło. Z niedowierzaniem przyglądał się jego zawartości. Pomału wyciągnął jedną butelkę. Nie wierzył własnym oczom. Oryginalny Dom Perignon! Obok butelek szampana w pudle była jeszcze koperta. A w niej króciutki list:

Ciesz się, że posłuchałeś mojej rady. To mój drobny wkład w uroczystość.

Gianni Guardino

Jak on mnie, u diabła, odnalazł? pomyślał Dan. Ten człowiek był gorszy niż babcia Shannon. Musiał wszędzie mieć swoich szpiegów.

Prawie zrobiło mu się żal Ricka Taylora.

Wrócił do domu. Poszedł do gabinetu i zabrał się do pracy. Szczęśliwy, że mógł dać zajęcie umysłowi i uciec od niespokojnych myśli.

Zdumiał się, gdy usłyszał trzaśnięcie tylnych drzwi. I znajomy głos. Spojrzył na zegarek. Była już prawie jedenasta!

- Tu jestem! - zawołał i poszedł do kuchni.

Rafe popatrzył na niego badawczo i pokręcił głową.

- Co?!

- Nie ogoliłeś się - wyjaśnił Rafe.

- I?

- Zamierzasz tak iść do ślubu?

- Prawdę mówiąc, nie. - Pogładził się po szczęce. - Pomyślałem, że im później się ogolę, tym dłużej będę ogolony.

Rafe zarechotał.

- Nareszcie zacząłeś myśleć. Kiedy pojawi się Shannon?

- Na pewno nie przed drugą. Przyjedzie w sukni ślubnej, a nie chce, bym zobaczył ją przed ceremonią.

- A co z resztą rodziny? Przyjadą?

- Z tego co wiem, tak.
- Babcia też?
- Przede wszystkim babcia.
- Nie boisz się, że Shannon rozmyśli się w ostatniej chwili?

Dan przypomniał sobie rozmowę, którą odbył z Shannon tej nocy, i uśmiechnął się.

- Nie rozmyśli - powiedział.

O drugiej wszyscy goście weselni byli już na miejscu. Dostawcy uwijali się już od południa. Rozstawiono rzędy krzeseł. Przygotowano ołtarz. W końcu przybył ksiądz. Obecni byli wszyscy członkowie obu rodzin. Prócz Alana, który miał przywieźć Shannon.

Brakowało tylko panny młodej.

Dan stał przed ołtarzem, w towarzystwie księdza i drużby. Wiedział, że Mandy czekała w domu na przybycie Shannon. Usłyszał warkot silnika. Przyjechał jakiś samochód. Zatrzymał się za domem.

Ale to nie miało znaczenia. Dan wiedział. Spojrzał na Rafe'a i uśmiechnął się.

- Właśnie odzyskałeś swój normalny wygląd - rzucił Rafe i także się uśmiechnął. - Już się bałem, że zaraz zemdlejesz.

- To panny młode mdleją. Nie panowie.
- Mnie nie oszukasz.

Na jakiś tajemny sygnał organista zaczął grać. Gwar rozmów ucichł i wszyscy zaczęli odwracać głowy, by ujrzeć pannę młodą.

Na przedzie szła Mandy. Ubrana wspaniale, jakby to był jej ślub.

Potem zza węgła wyłonił się Alan Doyle. Prowadził pod rękę siostrę.

A Dan wciąż powtarzał sobie, że nie wypada, by mężczyzna mdlał na widok panny młodej.

Nie spodziewał się jednak, że Shannon będzie wyglądała aż

tak cudownie. Alan, jak i jego brat, był potężnej postury, co sprawiało, że w jego towarzystwie Shannon wydawała się jeszcze drobniejsza i bardziej krucha. Wybrała skromną suknię, bez żadnych falbanek czy koronek. Uszytą z białego gładkiego atłasu. Z malutkim kołnierzykiem i długimi rękawami. Wcięta w pasie, spływała w dół, aż do białych, atłasowych bucików.

Shannon wyglądała tak pięknie jak z bajki. Dan poczuł wzruszenie.

Ale przecież mężczyźni nie płaczą na własnym ślubie.

Na głowie miała mały kapelusik. I niedużą, zakrywającą pół twarzy woalkę. Dan wyraźnie widział jej usta. I uśmiech przeznaczony tylko dla niego. Czekał na nią niecierpliwie, by razem mogli zbliżyć się do ołtarza.

Niespodziewanie, kiedy ich dłonie złączyły się w uścisku, na Dana spłynął spokój. Shannon przyszła do niego z własnej woli. Wybrała go. Nie bacząc na opinię babci.

Kochała go. Tak jak on ją.

I w ten sposób, w obliczu Boga, przyjaciół i rodzin, wypowiedzieli słowa sakramentalnej przysięgi małżeńskiej. Z mocą i uczuciem, jakich Dan nie doświadczył nigdy wcześniej.

Na bardzo, bardzo długo Dan stracił wiarę w ludzi. W to, że mogą być dobrzy. Aż do tego momentu.

Kilka godzin później Rafe odszukał Dana i Shannon. Państwo młodzi przyglądali się, jak goście ochoczo płaśali w rytm muzyki miejscowej kapeli.

- A tak przy okazji, Dan... - zaczął.
- O co tym razem chodzi? - zapytał pan młody.
- Nie znam nikogo bardziej podejrzliwego niż ty. Chciałem tylko powiedzieć, że nagraliśmy całą ceremonię na taśmie wideo.
- Jak to: nagraliśmy? Przecież cały czas stałeś przy mnie.
- Tak, wiem. To Mandy wymyśliła, że dobrze byłoby za-

trudnić zawodowca do sfilmowania całej uroczystości. Zabroniła tylko mówić ci, żebyś nie denerwował się jeszcze bardziej. Chociaż mówiłem jej, że już nic nie może zdenerwować cię jeszcze bardziej. Już i tak twoje emocje sięgnęły zenitu.

Shannon popatrzyła nań zdziwiona.

- Denerwowałeś się? - spytała z niedowierzaniem. - Naprawdę nie było tego widać.

- A ty? - spytał.

- Żartujesz? - Dała mu kuksańca. - Spełniło się moje najskrytsze marzenie. Z trudem powstrzymywałam się, żeby nie zacząć skakać z radości przed ołtarzem.

- W nocy rozmawiałeś ze mną tak, jakbyś była zdenerwowana.

- Rozmawiałeś z nią w nocy? - zdziwił się Rafe.

- Tak. - Dan westchnął ciężko. - Zadzwoiła już po twoim wyjściu. Wybacz, że nie informowałem cię na bieżąco o wszystkich szczegółach mojego życia. Czy mam rozumieć, że chcecie sfilmować także nasz miesiąc miodowy? Ze wszystkimi detalami?

- Świetny pomysł! Zaraz pędzę powiedzieć Mandy, że...

- Zapomnij o tym. - Dan odwrócił się do Shannon. - Nie śmiej się z niego. To go onieśmiela.

- Jeżeli mamy wyjechać przed zmrokiem, muszę się przebrać - powiedziała.

- Pomogę ci! - zawołał Dan. I nie oglądając się na Rafe'a, poszli do domu. Nim jednak dotarli do sypialni, gdzie Shannon zostawiła swoje rzeczy, minęło sporo czasu. Musieli zatrzymać się co krok, by porozmawiać z gośćmi. Kiedy wreszcie znaleźli się sami, Dan rzucił niecierpliwie:

- Co mogę zrobić?

- Rozepnij moją sukienkę. - Odwróciła się do niego plecami.

Cóż za bieliznę miała na sobie!

Podeszła do łóżka, gdzie leżało przygotowane ubranie.

- Pomyślałam, że wygodniej mi będzie podróżować w spodniach niż w sukience. - Tak wierciła się przy wkładaniu spodni, że Danowi natychmiast wzrosło ciśnienie. - A ty się nie przebierasz?

- Nie. Już jestem spakowany. I gotowy. - Jeszcze jak był gotowy!

- No to chodźmy.

Przed domem czekał Tom, by zawieźć ich na lądowisko. Kiedy wyszli na ganek, znaleźli się w kręgu gości, którzy zebrali się, by pożegnać nowożeńców.

- Dziękuję za cudowne wesele - powiedziała Shannon do Dana.

- To ty byłaś cudowna, kochanie. Ja tylko stałem obok ciebie.

- Ale tak wspaniale to wszystko było zorganizowane. - Przcisnęła do piersi swoją ślubną wiązanekę. - Na przykład kwiaty. Wyobrażasz sobie moje zdziwienie, kiedy przywieziono mi je dziś rano?

- To samo czułem, gdy otrzymałem przesyłkę od Guardina.

Shannon zamachnęła się i cisnęła bukiet w stronę zgromadzonych gości.

- To był mój ostatni obowiązek - powiedziała.

Kiedy lecieli już wysoko, słońce zaczęło chować się za horyzontem. Obłoki mieniły się czerwienią, purpurą, różem i granatem. Ten piękny koncert barw był wspaniałym dopełnieniem dnia pełnego wrażeń.

Tym razem Shannon przekroczy próg jego apartamentu, jako jego żona. I nikt następnego dnia nie załomocze do drzwi.

A gdyby nawet tak się stało, Dan nie zamierzał się tym przejąć.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Księżyc, wielki jak pomarańcza, pysznił się po wschodniej stronie nieba, gdy samolot zaczął podchodzić do lądowania na małym lotnisku niedaleko Port Isabel. Shannon aż westchnęła z zachwytem.

Zaraz po wylądowaniu Dan zadzwonił po taksówkę. Po chwili jechali już do miasta.

Wrócili do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło.

Idąc przez hol do windy, Dan pozdrowił nocnego strażnika. Kiedy już znaleźli się w mieszkaniu, powiedział:

- Muszę ci coś wyznać. Pomyślałem sobie, że łatwiej mi to przyjdzie teraz, kiedy jesteśmy już małżeństwem.

Shannon zajrzała do lodówki w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Była głodna. Tymczasem Dan stał na środku pokoju i rozglądał się z zadowoleniem. Sprzątaczkę spisały się dobrze.

- Masz tu cokolwiek do jedzenia?

- O, tak! Pomyślałem, że nie będziemy chcieli tracić zbyt wiele czasu na zakupy.

Przytuliła się do niego.

- No, dobrze - powiedziała. - Pora na wyznania. Co też mi powiesz?

Dan pocałował ją. Potem wziął za rękę i poprowadził do sypialni.

- To ma związek z naszą rozmową ostatniej nocy.

- O co chodzi? - spytała zdziwiona. - Wiem, że było późno.

- Myślałem, że dzwonicz, żeby odwołać ślub.

Shannon przysiadła na krawędzi łóżka i patrzyła nań w niemym zdziwieniu.

- Nawet kiedy opowiadałaś mi o swojej rozmowie z babcią, wciąż czekałem, kiedy mi powiesz, że zmieniłaś zdanie.

- Och, Dan! Nigdy nie miałam takiego zamiaru. To ty zawsze byłeś śmiały i pewny siebie. Uznałam, że tym razem musiałam powiedzieć ci, co czułam przed ślubem. - Zaśmiała się.

- Pomyśl o tym. Byłeś troszkę zaskoczony, kiedy powiedziałam ci, jak bardzo cię kocham. I jaka jestem szczęśliwa, że ożenisz się ze mną.

- Mówiąc szczerze, byłem zaszokowany. Zupełnie jakbyś czytała w moich myślach i postanowiła podtrzymać mnie na duchu. Zacząłem nawet zastanawiać się, czy nie biorę sobie za żonę jakiegoś medium.

Zdjęła kurtkę i zaczęła rozpinąć bluzkę.

- Mam nadzieję, że wydam ci się ponętna i pociągająca.

- Wstała i zdjęła spodnie. - Obiecałeś, że rzucisz się na mnie, kiedy tylko tu dojedziemy.

Dan rozluźnił krawat i zdjął marynarkę.

- Wcale nie jestem zaskoczony swoim postępowaniem. Muszę wyznać, że naprawdę bałem się, że cię stracę, jeśli nie poprowadzę cię do ołtarza. Co robisz? - spytał, kiedy zaczęła otwierać walizkę.

- Kupiłam sobie bardzo seksowną nocną koszulkę.

- Będę o tym pamiętał, ale teraz... - Chwycił ją w ramiona i pociągnął na łóżko. - Dla mnie i bez niej jesteś najbardziej pociągająca na świecie.

Chciał musnąć ją delikatnym pocałunkiem, lecz nie było mu dane. Przywarła doń z taką pasją, że poddał się bez reszty.

Oto bowiem nadeszła jego noc poślubna, na którą tak długo czekał.

Szybko pozbył się ubrania. Potem zdjął z Shannon delikatną jak mgiełka bieliznę. Czuł się jak wygłodniały żrebak, który nagle znalazł się na porośniętej bujną trawą łące. Nie wiedział, od czego zacząć.

Całował Shannon i pieścił, od stóp po płatki uszu. Uczył się jej. Poznawał delikatne sygnały, którymi jej ciało reagowało na jego zabiegi.

I nadszedł moment, gdy nie mógł już czekać dłużej.

- Kupiłem zabezpieczenie. Gdyby to miało poprawić ci samopoczucie. ..

- To nie będzie potrzebne. - Przytuliła się do niego. - Chcę mieć z tobą dziecko.

- Ale jeszcze nie teraz. Chciałbym mieć cię tylko dla siebie choćby przez kilka miesięcy - wyszeptał.

- Jak sobie życzysz, kochanie. - Pocałowała go.

Zachęcała go, zapraszała. A kiedy poczuł, że nie było już odwrotu, przyjęła go namiętnie i gorąco. Była cudowna. Wspaniała. Zdawała się pragnąć tego, co i on. I gdy dotarł do szczytu rozkoszy, znalazła się tam razem z nim.

Wyczerpany, opadł na łóżko. Z trudem oddychał. Lecz nie wypuścił Shannon z objęć.

- Mam nadzieję, że nie sprawiłem ci przykrości? - wyszeptał.

Uśmiechnęła się sennie.

- Teraz to nie ma znaczenia. Jestem szczęśliwa, że doczekałam się wreszcie tej chwili, gdy byłam częścią ciebie.

Ułożył jej głowę na swoim ramieniu i przytulił. Wciąż jej pożądał, lecz nie chciał nalegać. W końcu mieli przed sobą całe życie.

Usnęli, wtuleni w siebie jak kocięta.

Jakiś czas później Shannon szturchnęła go. Uśmiechnął się i przytulił ją jeszcze mocniej. Nie otwierając oczu, pocałował ją.

- Ach! Dan? - szepnęła z przerażeniem w głosie. - Mamy towarzystwo.

Jej głos poruszył go bardziej niż słowa. Gwałtownie otworzył oczy. Okazało się, że miała rację.

Wokół łóżka stało czterech ludzi. Ubrani byli w czarne kombinizony, a na twarzach mieli czarne maski. I każdy z nich trzymał w rękach automatyczny pistolet.

- Co jest, do cholery?! - Dan usiadł gwałtownie. Shannon pociągnęła brzeg kołdry i przycisnęła go do piersi.

Jeden z mężczyzn odezwał się:

- Róbcie, co każemy, a nic się wam nie stanie. Ubierzcie się. Oboje. - Cisnął im ubrania, które poprzedniego wieczora rozrzučili po podłodze.

- Kim jesteście? Czego chcecie?

Shannon chwyciła ubranie i naciągnęła kołdrę na głowę. Ubierała się gorączkowo. Widać dobrze zapamiętała, jak to jest dać się porwać w skąpym stroju.

- Jak się tu dostaliście? - warknął Dan. - Co zrobiliście strażnikowi?

- Tracisz czas - powiedział nieznajomy. - Jeśli chcesz jechać w tym stroju, to twoja sprawa.

Dan spojrzał na Shannon. Właśnie kończyła zapinać bluzkę. Włożyła też spodnie i usiadła na łóżku. Najbliższy z napastników cofnął się o krok, robiąc jej miejsce.

Nie było możliwości, by rozpoznać któregoś z nich. Ale na pewno byli groźni. Dan żałował, że nie poprosił Rafe'a, by nauczył go kilku chwytów przydatnych w takich sytuacjach. Ale kto mógł przypuszczać, że przytrafi mu się coś takiego. Znowu!

Dan wciągnął na siebie bieliznę oraz spodnie i wstał. Potem włożył koszulkę. Ciekawe, czy to już koniec? pomyślał. Jeszcze wczoraj cieszył się, że zaczyna nowe życie z cudowną kobietą. A tymczasem może się okazać, że jego przyszłość trzeba mierzyć godzinami, nie latami.

- Idziemy! - powiedział dowódca porywaczy.

Dan objął Shannon. Jeden z napastników stanął tuż za nimi. Kątem oka Dan dostrzegł, że inny zabrał ich walizki.

Wielkie nieba! Jeżeli ktokolwiek będzie ich szukał, nie znajdzie tu żadnego śladu ich obecności.

Spojrzał na łóżko. Był na nim ich ślad. Dowód, że ktoś w nim spał. Miał nadzieję, że to będzie dla Rafe'a wystarczająca wskazówka. I była to jedyna jego pociecha. Że Rafe nie ustanie, dopóki nie odkryje, co naprawdę się z nimi stało.

- Przysłał was Guardino? - spytał.

Żaden z napastników się nie odezwał.

Wyszli z windy na parterze. Strażnika nigdzie nie było.

Szybkim krokiem poszli na parking. W ciemności nocy nie można było dostrzec stojącego tam helikoptera. Lecz słychać było miarowy odgłos wolno obracających się łopat wirnika.

Porywacze wsadzili Dana i Shannon do środka i maszyna wzbiła się w powietrze.

Shannon drżała i kryła się za Danem, który czuł niepokonowaną wściekłość. Czy miało to jakiś związek z jego firmą? Czy była to kolejna pułapka Jamesa?

Znów ogarnęło go zwątpienie. Przytulił Shannon i postanowił czekać, co los przyniesie.

Monotonne warczenie silnika działało usypiająco. Dan nadal trzymał Shannon w objęciach. A ona drzemała z głową na jego ramieniu.

Nagle dźwięk motoru jakby się zmienił. Lądowali? Siedząc między dwoma osiłkami, Dan nie miał możliwości wyjrzeć na zewnątrz. Nie wiedział, gdzie się znajdują.

- Ostatni przystanek - powiedział przywódca porywaczy, otwierając drzwi.

Dan wysiadł pierwszy, pomógł wyjść Shannon i rozejrzał się dookoła. Wodził wkoło zdumionym spojrzeniem.

Tymczasem jeden z opryszków wystawił na ziemię ich ba-

gaż, zasalutował niedbale i wskoczył do śmigłowca, który natychmiast wzbił się w powietrze i odleciał.

- Gdzie jesteśmy? - Shannon odezwała się po raz pierwszy od wielu godzin.

Dobre pytanie. Dan rozglądał się nerwowo.

Słońce stojące już wysoko na niebie oświetlało białą plażę, ciągnącą się łukiem wzdłuż turkusowej laguny. Dalej rosły wysokie palmy i bujna roślinność. Najprawdopodobniej była to niewielka wysepka.

Shannon się roześmiała.

- Przywieźli nas chyba na Wyspę Marzeń.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że jesteśmy cali i zdrowi - bąknął Dan.

- Wcale nie byli brutalni.

- To prawda. Za to wyjątkowo sprawni.

- Rozejrzymy się?

- Chyba nie mamy wyboru. - Dan wzruszył ramionami. - Mam nadzieję, że nie ma tutaj żadnych mebezpiecznych zwierząt.

- Wygląda na to, że będziemy mieli co opowiadać, relacjonując naszą podróż poślubną.

- A może wypiliśmy coś, co wywołało takie halucynacje?

- Albo zostaliśmy wciągnięci do wirtualnej przestrzeni jakiejś gry komputerowej - dorzuciła Shannon.

Ruszyli przed siebie. Piasek pod stopami był miękki i delikatny. Dan miał jeszcze na nogach ślubne buty. Po kilku krokach były pełne piasku. Shannon przynajmniej była w klapkach. Łatwiej było jej iść.

Dostrzegli wśród krzewów wysypaną potłuczonymi muszlami ścieżkę prowadzącą w głąb wyspy. Spojrzeli po sobie.

- Może tam ktoś mieszka? - powiedziała Shannon.

- Nie jestem pewien, czy to dobrze, czy źle. W końcu jesteśmy tu intruzami.

- Ale nie mamy wyboru.

Poszli więc, dokąd prowadziła ich dróżka. Za ostatnim zakrętem stanęli jak wryci.

Na niewielkiej polanie stała niska chata kryta palmowymi liśćmi, ale ściany wykonane były ze szkła. Zajrzeli do wewnątrz.

- Spójrz, Dan. - Shannon wskazała drzwi, na których wisiał wielki napis: „Witajcie, Dan i Shannon”.

Dan zastukał w drzwi, ale nie było żadnej odpowiedzi. Popchnął je lekko. Otworzyły się bez trudu. Skinął na Shannon i oboje weszli do środka.

- O rany! - powiedziała Shannon z uznaniem.

No, no! pomyślał Dan.

Znaleźli się we wnętrzu gustownym, eleganckim i pełnym kosztownych drobiazgów. Był tam wielki salon połączony z kuchnią i barem w kącie. Na środku stał stół. Dalej sofa i fotele ustawione w pobliżu wielkich szklanych drzwi, za którymi rozciągał się wspaniały tropikalny krajobraz.

Na stole stały świeże owoce. A na kuchennym blacie leżała zaadresowana do nich koperta.

Dan natychmiast rozpoznał charakter pisma.

- Zabiję go! - mruknął, rozrywając kopertę.

- Kogo?

Wyjął z koperty arkusz papieru i zaczął czytać.

Obawiałem się, że po Waszych dotychczasowych przygodach podróż poślubna, którą sobie zaplanowaliście, wyda się Wam zbyt banalna. Postanowiłem więc oddać Wam przysługę i nieco ją ożywić.

Macie zapas żywności na siedem dni. Po tym czasie zostaniecie odwiezieni z powrotem do domu. Myślę, że potrafcie należycie skorzystać z takiego odosobnienia.

Rafe

- Zabiję go! - powtórzył Dan z naciskiem.
- Rafe zorganizował to porwanie? - spytała z niedowierzaniem.
- Na to wygląda.
- Ale jak? Skąd wytrzasnął tych ludzi, helikopter i...? Nic nie rozumiem.
- Stary, dobry Rafe nie zawsze był szefem ochrony w mojej firmie. Coś mi się zdaje, że uchylił właśnie rąbka swojej pilnie strzeżonej, tajemniczej przeszłości.
- Musiał zadać sobie wiele trudu. - Zaczęła otwierać szafki, lodówkę i zamrażarkę. - Popatrz choćby na to jedzenie. Roztyjemy się, jeśli zjemy choćby część tych zapasów.
- Ruszyli dalej, oglądając dom. Znaleźli jeszcze dwie sypialnie. W każdej stało gigantyczne łóże z baldachimem. Przy każdej była też łazienka.
- Trudno tu mówić o intymności. - Shannon wyjrzała przez olbrzymie okno. - Ma się takie wrażenie, jakby mieszkało się wprost w tropikalnym lesie. Tylko dach nad głową.
- Pewnie o to właśnie chodziło budowniczym. Poza tym mamy dla siebie całą wyspę.
- Czy to oznacza, że będziemy mogli kąpać się w oceanie nago?
- Śmiejąc się głośno, Dan wziął ją w objęcia.
- To oznacza, że możemy robić wszystko, co tylko przyjdzie nam do głowy. Już od zaraz. - Poprowadził ją do łóżka. - Nie zamierzam tracić ani minuty.

EPILOG

Telefon na biurku Dana zadzwonił głośno.

- Mamy problem - mruknął Rafe.

- Coś z bezpieczeństwem? - spytał Dan.

- Nie. Twoja pani wiceprezes do spraw produkcji postanowiła urodzić.

- Co?! Gdzie ona jest?

- Jesteśmy tu, w fabryce. Możesz do nas dołączyć. Danny junior postanowił zjawić się nieco wcześniej.

- Zaraz tam będę.

Dan cisnął słuchawkę i rzucił się biegiem do części produkcyjnej firmy. Wpadł jak burza do wielkiej hali i zastygł w bezruchu.

Shannon siedziała na składanym krześle. Rękami otoczyła swój brzuch. Oczy miała zamknięte. A Rafe klęczał przy niej i przemawiał uspokajająco.

- Jest trochę spięta - powiedział do Dana.

Shannon otworzyła oczy. Były pełne przerażenia.

- Nie mogę urodzić go teraz! Nie mogę.

Dan uśmiechnął się. Ukłęknał obok niej.

- Wydaje mi się, że nasz syn sam wybrał sobie dzień urodzin, kochanie. Chodźmy do samochodu, dobrze?

- Nic nie rozumiesz - rzuciła rozdrażniona. - Jeżeli urodzę go trzy tygodnie przed terminem, babcia będzie przekonana, że wzięliśmy ślub z konieczności!

Rafe zakasłał gwałtownie i ukrył twarz w dłoniach.

- Dzieci bardzo często rodzą się przed terminem. - Dan starał się, by zabrzmiało to jak najbardziej przekonująco. - Ona to zrozumie.

Cień nadziei pojawił się w oczach Shannon.

- Może to tylko niestrawność?

Rafe i Dan wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Nie chciałbym spierać się z tobą - powiedział Rafe najspokojniej, jak tylko było to możliwe w tych okolicznościach - ale nie wydaje mi się. Pamiętaj, że Mandy i ja właśnie przechodzimy przez to już po raz drugi. Mnie się wydaje, że to jednak poważna sprawa.

- No właśnie! Urodziło się już dzisiaj jedno dziecko w naszej rodzinie. Nie może urodzić się drugie!

Dan ujął jej dłoń.

- Mandy na pewno nie będzie miała ci tego za złe, kochanie. Może nawet, kiedy będzie już po wszystkim, położą was w jednym pokoju?

Odwrócił się i puścił oko do Rafe'a.

- Będzie z tego potworne zamieszanie - powiedziała Shannon z obawą w głosie. - Dwóch chłopców urodzonych tego samego dnia, w tej samej rodzinie.

Rafe chrząknął nerwowo.

- No, cóż. Kevin nosi moje nazwisko. Nie sądzę więc, by można było go pomylić z Dannym Crenshawem juniorem.

Shannon skrzywiła się. Pomasaowała wielki brzuch.

- Ojej! Może to jednak jeszcze nie poród!

Dan wstał. Zanim Shannon zdążyła zaprotestować, wziął ją w ramiona i ruszył do samochodu.

Pisnęła gwałtownie.

- Przecież mogę chodzić! - zawołała.

- Nie mam czasu spierać się z tobą, słonko. Zabieram cię do szpitala.

- Ale ja nie jestem na to przygotowana - jęknęła. - Sądziłam, że do porodu zostały jeszcze trzy tygodnie.

- Powiedz to Danny'emu juniorowi, nie mnie. To jemu tak spieszą.

- A jeśli dzieje się coś złego?

- Nie ma powodu do paniki. On jest po prostu niecierpliwy, jak jego ojciec, to wszystko.

Rafe pobiegł przodem i otworzył im drzwi.

- Jak to dobrze, że wpadłem tu po drodze ze szpitala - powiedział z uśmiechem. - Pojadę z wami i poczekam, aż będzie po wszystkim. Wtedy dopiero pojadę po mamę, żeby zobaczyła Mandy i malarstwo.

Dan nie zwracał na niego uwagi. Rafe był tego wieczora wyjątkowo energiczny. I wszystko go szalenie bawiło.

Dan zaś doskonale rozumiał obawy Shannon. Rzeczywiście, było zbyt wcześnie. A jeśli dziecku stanie się coś złego? Czy nie jest za małe? Podczas szalonej podróży poślubnej starali się uważać. I dlatego odkrycie, że Shannon jest w ciąży, było dla Dana ogromnym zaskoczeniem. Jednak szybko pogodził się z myślą, że rodzina się powiększy.

Bardzo pomogło mu, że w tym samym czasie i Mandy znowu zaszła w ciążę. Uważnie patrzył i słuchał, jak szwagier i siostra szykowali się na powitanie nowego domownika. I zaczął spokojniej myśleć o dziecku, które po kilku miesiącach miało zawitać do jego domu.

Ostrożnie umieścił Shannon w samochodzie i siadł za kierownicą. Rafe machnął mu ręką.

- Będę jechał tuż za tobą! - krzyknął.

- Nie mogę jechać do szpitala - oznajmiła Shannon.

- A to czemu? - spytał. Włączył silnik.

- Nie mam swojej walizki. Spakowałam ją w ostatnią sobotę. Bo nie miałam co robić.

Dan ze zrozumieniem pokiwał głową. Odmienny stan dodał Shannon nadludzkiej wprost energii. Zamienił tę niewiastę w silnik wysokoobrotowy. Przygotowała pokój dziecienny - dawny pokój dziecienny Dana - w najdrobniejszych szczegółach, jednocześnie pracując wraz z mężem w firmie. Jej świeże pomysły i wielki zapał były wspaniałym nabytkiem dla przedsiębiorstwa. Wymyślony przez nią nowy program rozliczeń szybko przyniósł olbrzymie oszczędności. Dan z radością patrzył, jak jego małżonka szalała po biurze, pełna nieokiełznanego wigoru. Cięża nie była w stanie ograniczyć jej zaangażowania.

- Przywiozę ci tę walizkę do szpitala, kochanie. Nie martw się. Nie będzie ci potrzebna tak od razu.

Dan zmusił się do uważnego prowadzenia samochodu. Dobrze, że wczesnym popołudniem nie było korków. Spojrzył we wsteczne lustro. Rafe jechał tuż za nimi.

- Sprawdzasz częstość skurczów? - spytał.

- No... nie bardzo. Ale odkąd wsiedliśmy do samochodu, następnego jeszcze nie było.

- Czyli minęło jakieś pięć minut. Przynajmniej wiem, że nie będę musiał odebrać porodu w samochodzie.

- To wcale nie było śmieszne.

- Bo nie miało być. Jeszcze niewiele wiem o ojcostwie i trochę to mnie przeraża.

- Oj! Chyba będą kłopoty! - Shannon zaczęła gwałtownie łapać powietrze.

Dan położył dłoń na jej brzuchu. Poczul pod palcami delikatny ruch.

- Wszystko będzie dobrze, mały - powiedział. - Jesteśmy przy tobie.

Kiedy zajechali przed szpital, czoło Shannon pokryte było kropelkami potu. Rafe wjechał tuż za nimi.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Miała po drodze dwa skurcze.
- Dobrze. - Rafe pokiwał głową. - Chodźmy do środka.

Dalej wszystko potoczyło się w zwariowanym tempie. Kiedy znaleźli się wewnątrz, Shannon trafiła w ręce pielęgniarek. Jedna z nich wskazała Danowi, gdzie może przebrać się w sterylne ubranie, nim dołączy do żony.

Zakładając ochraniacze na buty, Dan ze zdziwieniem spostrzegł, że drżą mu ręce.

Proszę, Boże, nie pozwól, żebym ją stracił, myślał. Jest taka delikatna. Doktor niepokoił się wielkością dziecka. Proszę, proszę, niech wszystko będzie dobrze.

W sali porodowej wpadł na lekarza. Dobrze, że przyjechał na czas.

Na widok Dana doktor Trent uśmiechnął się szeroko.

- Przyłącz się do zabawy, tatusiu - powiedział. - Im nas więcej, tym weselej.

- Co z nią?

- Świetnie sobie radzi. To w końcu pana syn. Ulżyło mi trochę, że postanowił urodzić się nieco wcześniej. I tak jest bardzo duży.

Dan usiadł na krzeselku i wziął Shannon za rękę.

- Damy sobie radę, najdroższa. Jesteśmy jedną drużyną. Pamiętaj o tym.

Daniel Edwin Crenshaw junior przyszedł na świat jeszcze tej nocy, pół godziny przed północą. Jego kuzyn Kevin urodził się tego samego dnia o godzinie pierwszej w nocy. Był starszy o dwadzieścia dwie i pół godziny i cięższy prawie o kilogram. Ale najważniejsze, że wszystko poszło dobrze.

Jakimś sposobem Rafe sprawił, że obie położnice znalazły się w jednym pokoju. Kiedy przywieziono tam Shannon, była już pierwsza w nocy. Ale Mandy przebudziła się.

- Moje gratulacje - szepnęła.
- Shannon uśmiechnęła się słabo.
- I moje, droga pani - odparła.
 - Wiesz, oczywiście - ciągnęła Mandy - że nasi mężowie już stale będą porównywać swoich synów. Zwłaszcza że urodzili się tego samego dnia.
- Wcale nie potrzebujemy ich porównywać - powiedziała Dan. - Obaj są zdrowi. I tylko to się liczy.
- Shannon uściśnęła jego dłoń.
- Dałeś już znać mojej rodzinie? - spytała.
 - Rozmawiałem z twoją mamą przed południem. Potem zadzwoniłem, kiedy Danny już się urodził.
 - Co powiedziała babcia?
 - Że przyjedzie tu jutro rano, żeby zobaczyć obu malców. I życzyła ci dobrej nocy.
 - Nie komentowała tego, że mały urodził się tak wcześnie?
 - Nawet przez myśl mi nie przeszło, by pytać ją o zdanie. Danny urodził się wspaniały i zdrowy, a ja kocham cię do szaleństwa. A teraz zaśnij.
- Schylił się i pocałował ją.
- Rafe w tym samym momencie pocałował Mandy.
- Wyszli na korytarz.
- Nie życzę sobie słyszeć od ciebie żadnych uwag na temat wzrostu i wagi Kevina, słyszysz? - powiedział Dan.
- Rafe wybuchnął śmiechem.
- Przecież nic nie mówiłem. Chociaż trudno ukryć, że mój syn wygląda tak, jakby miał już pół roku.
- Dan wyszczerzył zęby w uśmiechu.
- Uwierzyłybyś? Nasi synowie urodzili się tego samego dnia! Nie chcę nawet myśleć, co będzie się działo na ranchu za kilka lat.
 - Oj, tak. Kolejny duecik Crenshaw - McClain. Mam tylko

nadzieję, że nasi synowi nie wyrosną na takich piekielników, jakimi my byliśmy. W przeciwnym razie posiwiejemy szybciej, niż nam się zdaje.

- Szkoda, że mama i tata tego nie dożyli - powiedział Dan.

- Cieszę się, że moja mama jest z nami. Będzie babcią dla nich wszystkich.

Wyszli z budynku i spojrzeli na rozgwieżdżone niebo.

- Kto by pomyślał przed trzema laty, że będziemy jedną rodziną - powiedział Dan cicho.

- Ciągłe się szczypię, żeby się upewnić, że to wszystko dzieje się naprawdę - przyznał Rafe.

Dan skinał mu ręką i odjechali.

- Shannon? - szepnęła Mandy. - Ciągłe nie śpisz?

- Drzemię. Dali mi jakiś zastrzyk i jestem trochę otumaniona.

- Cieszę się, że wszystko poszło dobrze.

- Ja też. Kiedy poczułam pierwsze skurcze, wpadłam w panikę.

- Myślałam o tobie i Danie. O twojej pierwszej podróży na wyspę. Miałaś zamiar dać mu do wiwatu.

Shannon zachichotała.

- Tak, chyba tak było, prawda?

- A zamiast tego ofiarowałaś mu kawałek nieba. To chyba dość, by na zawsze zapomniał o ucieczce od świata, nie sądzisz?

- Bardzo przejmuję się wszystkimi nowymi zadaniami, które przed nim stanęły.

Mandy uśmiechnęła się.

- Ale świetnie sobie radzi - powiedziała.

- Pewnego dnia, po wielu latach małżeństwa, zdobędę się chyba na odwagę i opowiem mu, jak to szalałam za nim w szkole.

- Po co? Przecież w końcu nie musi wiedzieć o wszystkim. Możemy mieć przed naszymi mężami jakieś sekrety. Mężczyźni szaleją za tajemniczymi kobietami.

- Masz rację - przyznała Shannon. - Pozwolę mojemu mężowi uważać, że to właśnie w barze na wyspie poraził mnie jego urok, tak typowy dla Crenshawów. - Zaśmiała się cichutko. - Co w końcu jest absolutną prawdą. A teraz jest ich dwóch. Ojciec i syn. - Ziewnęła. - Czego więcej może kobieta oczekiwać od życia?